

Marion Lennox
Bosonoga milionerka

PROLOG

Prawnik chrząknął, po czym popatrzył smętnie na klientkę. To czysty szantaż, pomyślał.

Robert Fleming postawił na swoim. Przez całe życie manipulował ludźmi, a jedyną osobą, której udawało się wymknąć spod jego władzy, była jego pasierbica. Teraz okazało się, że zamierza kierować jej życiem zza grobu.

Testament był nie do obalenia. Fleming wygra, bo w tej sytuacji prawo jest bezwzględne.

– Niech pan czyta – rzekła Amy z kamienną twarzą. Adwokat zebrał się w sobie i sięgnął po dokument.

Mojej pasierbicy, Amy Freye, zapisuję rezydencję „Na Cyplu”, grunty na Shipwreck Bluff oraz środki na wybudowanie domu opieki na czterdzieści łóżek. Ośrodek ten ma być w stylu uzdrowiskowym. Na jego utrzymanie przeznaczam...

Powyższy zapis jest wiążący, pod warunkiem że Amy będzie mieszkać w Iluce przez dziesięć lat od mojej śmierci. Jeśli go nie dotrzyma, rezydencja oraz dom opieki mają być sprzedane, a cały mój majątek w równych częściach rozdzielony między dzieci mojego rodu. Dom opieki ma służyć tym, którzy docenią uroki Iluki, ponieważ moja pasierbica nigdy tej miejscowości nie lubiła.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

– Chyba kogoś zamorduję, jeśli nie przestanie padać – jęknęła Amy. Przez ścianę deszczu za szybą nie było widać nawet brzegu morza pięćdziesiąt metrów dalej.

– Zacznij od pani Craddock. – Kitty, rejestratorka, była pełna zrozumienia dla Amy. – Jeśli jeszcze raz usłyszę „Srebro we włosach”, to sama ją uduszę.

Za późno. W świetlicy nieopodal znowu zabręczało rozstrojone pianino oraz drżący głos pani Craddock, która z zapalem przekrzykiwała telewizor: „Kochany, lat łączy nas niemało, srebrem nam włosy przysypało...”

– Czy kakao zabija smak arszeniku? – Amy zniżyła głos. – Czy istnieje coś takiego jak uzasadnione morderstwo?

– Uważam, że dzisiaj byłoby na pewno uzasadnione. Leje od tygodnia, a do tego oni...

Beznadziejna sytuacja. W Iluce nic się nie dzieje. Miejscowi żartobliwie nazywali to miasteczko Poczekalnią Pana Boga. Tak, to jest poczekalnia, pomyślała Amy.

Iluca miała pewne zalety. Na przykład piękne położenie i klimat, pomijając oczywiście ten tydzień, kiedy to niebiosa postanowiły zgotować ziemi drugi Potop. Były tam też dwa pola golfowe, trzy kręgielnie na świeżym powietrzu, piękne plaże i malownicze szlaki turystyczne.

Na skałach powyżej miasteczka znajdowała się aleja Milionerów, pas potwornie drogich posiadłości. W sezonie miasteczko tętniło wytwornym życiem. Przez resztę roku nie tętniło w ogóle. Iluka była rajem emerytów. Średnia wieku wynosiła około dziewięćdziesięciu lat, a gdy padało, nie było tam nic do roboty. Nic. Absolutnie nic.

Karty. Scrabble. Różne domowe hobby.

Lionel Waveny skonstruował w tym miesiącu pięć latawców, ale nie miał okazji ich wypróbować. Świetlica przez większość dnia była pełna ludzi i gdyby Lionel zrobił jeszcze jeden latawiec, na pewno ktoś by na nim usiadł.

– Amy! Bert wygrał! – poinformował je radosny szczebiot.

Fantastycznie. Ale wydarzenie! Amy przybrała słodki uśmiech i ruszyła złożyć gratulacje zwycięzcy partii madżonga. Wielkimi krokami przechodziła ponad latawcami Lionela. Nie miała serca zabronić staruszkowi dalszej produkcji, ponieważ sprawiało mu to ogromną radość. Westchnęła. Ktoś przecież musi być szczęśliwy.

– Ładny latawiec – pochwaliła go. – Gratuluje! – zawołała pod adresem mistrza madżonga. – Jeśli wygra pan jeszcze parę zapalek, będziemy mogli rozpalić ognisko!

Mimo że się uśmiechała, nic nie było w stanie jej rozweselić. O co jej chodzi? To tylko deszcz. Żyje jej się całkiem nieźle. Dom opieki, który założyła, nieźle prosperuje. Jej sędziwi podopieczni są zadowoleni. Mogłaby nawet stworzyć firmę produkującą włóczkową odzież i latawce. Ma piękny dom. Oraz Malcolma. Czego więcej jej trzeba?

Sklepy! I przydałaby się porządna pensja, by mogła

się nimi cieszyć. Z niechęcią popatrzyła na niemodną sukienkę. Co jeszcze? Restauracje. Kina. I koniecznie kwiaciarnia, w której kupowałyby kwiaty, by poprawić sobie nastrój.

Marzenie ściętej głowy. Nigdy nie będzie mogła sobie na to pozwolić. Popatrzyła na strugi deszczu na szybie.

Co jeszcze? Cokolwiek.

Kilka kilometrów dalej Joss Braden mknął w stronę autostrady. Oby jak najdalej od Iluki!

– Tu jest fantastycznie – przekonywał go ojciec przez telefon. – No powiedz, gdzie widziałeś trzy kręgielnie naraz?

– Dobrze, ale...

– Wiem, że nie interesują cię kręgle. Ale mamy tu najpiękniejszą plażę pod słońcem. Popływasz sobie, pozbierasz kraby i wypróbujesz tę swoją nową deskę z żaglem. Rusz się, Joss. Poświęć nam chociaż kilka dni. Poznasz swoją nową macochę, a na dodatek odetchniesz od medycyny.

Zasłużył na odpoczynek, to prawda. Ale pięć dni w nieustającym deszczu wystarczyło, by jak na skrzydłach gnał z powrotem do Sydney. Przez cały tydzień nie zdjął deski z bagażnika. Fale były tak wysokie, że tylko samobójca odważyłby się stawić im czoło. Ojciec i Daisya domagali się, by spędzał z nimi cały czas. Byli do nieprzytomności i do obrzydzenia w sobie zakochani. W tej sytuacji Joss uznał, że z dwojga złego woli wielkomijski szpital.

Gdy w porannych wiadomościach usłyszał ostrzeżenie o możliwości podtopienia dróg i blokadach, w niemal panicznym pośpiechu pożegnał się z ojcem i jego

nową małżonką. Jechał teraz ostrożnie w zacinającym deszczu i modlił się w duchu, by żywioł nie wdarł się na autostradę.

- Za dziesięć minut wjedziemy na porządną drogę
- poinformował Bertrama Wspaniałego, wiekowego setera, który przypięty pasami siedział na przednim fotelu. Pies wpatrywał się w zamazaną szybę z miną tak samo zatroskaną jak jego pan. Gdyby tu utknęli...
- Będzie dobrze.

Niestety.

- Amy, skarbie, szukamy czwartego do brydża.
- Strasznie mi przykro, ale jestem zajęta.
- Bzdura. Wszyscy wiemy, że normalnie wychodzisz o tej porze na spacer. Dziś plaża jest zalana. Zagraj z nami.
- Nie umiem.
- Będziemy ci podpowiadać. Nauczysz się błyskawicznie.

Wrr...

Droga z Iluki do zjazdu na autostradę wiła się meandrami wśród nadmorskich skał. Rozciągał się z niej niesamowity widok, lecz jazda w deszczu była wyjątkowo niebezpieczna. Joss z całych sił trzymał kierownicę. Wychylił się do przodu, by lepiej widzieć drogę. Pies zrobił to samo, lecz Joss go odepchnął, ponieważ od jego oddechu na szybie osiadła para.

- Wystarczy, że ja się wysilam.

Byle dotrzeć do autostrady. Jeszcze tylko zakręt, potem most i... Z całej siły docisnął pedał hamulca. Całe szczęście, że włókł się w ślimaczym tempie, ponieważ zatrzymał się kilkanaście centymetrów przed... Przed czym?

To nie złudzenie. Zatrzymał się przed mostem. Szeroko otworzył oczy i patrzył, jak woda przelewa się przez deski, a środkowa podpora kołysze swobodnie, jakby straciła kontakt z ziemią. Przez szum deszczu usłyszał trzask drewna, potem zgrzyt metalu, a następnie ujrzał, jak most składa się, przechyla i znika w rozszalałej kipieli.

– Nie umiem grać w brydża. Obiecałam w kuchni, że pomogę piec babeczki.

– Ależ Amy, bardzo cię prosimy.

Niech ktoś mnie stąd zabierze!

Ostrożnie otworzył drzwi. Grunt pod nogami sprawiał wrażenie twardego. W miejscu, gdzie jeszcze niedawno stał most, nie było nic. Ani śladu żelaznej konstrukcji. Bertram zapisał jak pies, który znalazł się na obcym terytorium. Joss uwolnił go z pasów.

Nie musimy się spieszyć, myślał ponuro. Bertram jest wodołazem, więc jeśli jemu, Jossowi, przyjdzie utonąć, przynajmniej będzie miał zanego towarzysza.

– Nie lubisz takiej pogody – mruknął.

Lecz ku jego rozbawieniu pies uniósł łeb, otworzył pysk i zaczął pić deszcz. Joss roześmiał się, lecz równie szybko spowaźniał. Jak się dostanie do Sydney?

Chwileczkę. Zanim zacznie rozpaczliwie szukać innych dróg, musi ostrzec kierowców. Lepiej żeby nikt nie wpadł do rzeki.

Włączył długie światła. Rzeka była na tyle wąska, że jadący z naprzeciwka na pewno je zobaczą. Potem włączył światła awaryjne. Sekundę za późno, ponieważ zza zakrętu wytoczyła się ciężarówka. Nie było słyhać, jak nadjeżdża, bo zagłuszał ją łoskot rwącej rzeki. Joss

w ostatniej chwili uskoczył w bok, pociągając ze sobą psa. Potem rozległ się brzęk tłuczonego szkła, zgrzyt rozdzieranej blachy i syk pary. To niemożliwe! Jego auto zostało skasowane.

Wziął kilka głębokich oddechów, położył dłoń na psim łbie i podziękował mocom, które czuwają nad głupimi lekarzami w małych sportowych samochodach w świecie pełnym ciężarówek.

Uważnie przyjrzał się scenie, którą miał przed oczami. Ciężarówka wyglądała na wyjątkowo zabytkową. Gdyby jego auto było nieco większe, miałoby szansę wyjść z tego cało. Ale tak nie było. Tylne koła znalazły się niemal pod kierownicą, a przednie siedzenia, na których siedzieli jeszcze kilka minut wcześniej, były dokładnie rozpląszczone.

Cholera.

– Siad! – Bogu niech będą dzięki za tak posłuszne zwierzę. Lepiej żeby Bertram nie podchodził do wraku, bo w powietrzu zaczął unosić się zapach benzyny.

Co jest z kierowcą ciężarówki?

Mimo wszystko dobrze się stało, że samochód Jossa stał akurat w tym miejscu. Gdyby nie blokował drogi, rozpędzona ciężarówka na pewno wpałaby do rzeki.

Na przeciwnym brzegu pojawiło się jakieś auto, również na długich światłach. Jakimś cudem reflektory Jossa nadal świeciły. Ktoś wymachiwał do niego rękami. Udało się nam, pomyślał Joss. Oprócz, być może, kierowcy ciężarówki.

Smród benzyny stawał się coraz bardziej dojmujący, a kierowca nie wysiada. Silnik pracuje! Wystarczy iskra...

Drzwi ciężarówki stawiały opór. Po chwili wahania Joss sięgnął po kamień i rzucił nim w szybę. Wsunął ramię i przekreślił kluczyk w stacyjce. Silnik umilkł.

Czy ten człowiek jest ranny? Nie dawał znaku życia. Joss sięgnął do klamki wewnątrz i szarpnął pogięte drzwi. Drugą wystukał w komórce numer alarmowy.

– Most na drodze z Iluki został zerwany – relacjonował, jednocześnie szarpiąc się z drzwiami. – Wypadek od strony Iluki. Potrzebuję pomocy. Policja, laweta i karetka. Próbuje dostać się do kierowcy. Bądźcie w gotowości.

– Jeśli nie chcesz brydża, to może wolisz kręgle?

– Tak. – Łączy się z tym przynajmniej jakiś ruch. Amy czuła, że rozsadza ją energia. – Ustawmy je.

– Ale jutro zagrasz z nami w brydża, prawda? Jeśli nie przestanie padać.

Boże, spraw, żeby przestało.

– Amy, telefon! – To Kitty z biura. – Chris mówi, że ma do ciebie coś bardzo pilnego!

Hura! Wszystko, byle nie kręgle.

– Co się stało?

– Nie wiem. – Telefonistka z centrali sprawiała wrażenie przerażonej. – Zrozumiałam tylko, że most jest zerwany. I że był wypadek. Amy, karetka jest w Bowrze, po drugiej stronie! Jeżeli nie ma mostu, jeżeli tam jest potrzebny lekarz...

O nie! Iluka nie jest przygotowana na nagłe wypadki. Najbliższy szpital z prawdziwego zdarzenia jest w Bowrze. Najbliższy lekarz też mieszka w Bowrze. To tylko trzydzieści kilometrów, ale jeśli nie ma mostu...

– Nic więcej nie wiem – mówiła Chris. – Tylko tyle powiedział mi ten człowiek i się rozłączył. Zawiadomiłam sierżanta Packera, ale pomyślałam... No wiesz, tylko u ciebie można kogoś położyć. Chciałam cię uprzedzić.

To kobieta. I jest z nią niedobrze.

Joss w końcu otworzył drzwi. Głowę miała na kierownicy, ale szopa włosów wszystko zasłaniała. Młoda, pomyślał. Gdy położył jej dłoń na ramieniu, nie zareagowała.

– Słyszysz mnie pani?

Cisza. Jest nieprzytomna. Dlaczego?

Sprawdzić oddychanie! Bał się unieść jej głowę. Powinien mieć kołnierz ortopedyczny. Jeśli jest złamanie z kompresją... Nie miał kołnierza, więc nie miał wyboru. Ostrożnie odsunął loki, ujął w dłonie jej głowę i bardzo powoli unióśł znad kierownicy. Podtrzymując brodę szeroko rozstawionymi palcami, drugą ręką odgarnął włosy z ust rannej. Wyczuł ranę nad uchem. Sprawdził drożność gardła oraz jamy nosa. O co chodzi?

Chyba przycisnęły ją drzwi, pomyślał, oglądając ranę nad uchem. To pewnie od tego uderzenia straciła przytomność. I to miałyby ją zabić? Kto wie? Mogło dojść do krwotoku wewnątrz czaszki. Siedziała niemal tyłem do niego, więc badał ją po omacku. Bardzo ostrożnie przesuwając dłonie coraz niżej, szukając przyczyny utraty świadomości. Szyja w porządku. Puls przyspieszony, ale w normie. Ręce w porządku. Tułów...

Dosięgnął brzucha i aż zeszytywniał z wrażenia. To nie pomyłka. Ostatnie tygodnie ciąży! A to, co poczuł pod palcami, rozwiało jego wątpliwości. Skurcz! Ta kobieta rodzi!

– Mówi Jeff... – Jedyiny policjant w Iluce. Dobrze zbudowany i godny zaufania, ale po sześćdziesiątce. W każdym innym mieście od dawna byłby na emeryturze, ale w Iluce wydawał się młodzieńcem. – Amy, wypadek. – Jeff Packer nie był człowiekiem lęklwym,

lecz powiedział to tak grobowym głosem, jakby zaczął się koniec świata. Amy przygotowała się na najgorsze.

– Wieziemy do ciebie młodą kobietę.

– Do mnie?

– Amy, nie możemy zawieźć jej nigdzie indziej. Most jest zerwany, a śmigłowiec w tych warunkach nigdzie nie wylądaje. Doktor powiada, że trzeba się nią zająć.

– Jaki doktor?

– Facet, któremu skasowała auto. Podobno jest lekarzem.

Lekarz. Chociaż tyle. Amy odetchnęła.

– Ma poważne obrażenia?

– Nie wiem. Jest nieprzytomna i ma ranę głowy. Właśnie wkładamy ją do mojego vana.

– Czy na pewno dobrze zrobiliście, ruszając ją?

– Ten lekarz mówi, że nie ma wyboru. Dziecko w drodze.

Dziecko?! Osłupiała Amy odłożyła słuchawkę. To jest dom starców! Tutaj nie ma personelu, który umie przyjąć poród. Nikt nie ma takich kwalifikacji. Brakuje sprzętu.

Nie marnuj czasu na takie rozważania. Pozbieraj się. Zaraz tu przyjedzie nieprzytomna, rodząca pacjentka. Co będzie jej potrzebne? Personel. Wykwalifikowany. Kto w Iluce mógłby się do tego nadać? Mieszkają tu dwie pielęgniarki. Lecz Mary jest u matki i ma wyłączony telefon, a Sue-Ellen miała nocny dyżur i pewnie dopiero co położyła się spać.

Zastanawiając się nad sytuacją, wróciła do świetlicy. Z tego przestronnego pomieszczenia roztaczał się widok na morze. Z powodu deszczu teraz znajdowali się tam niemal wszyscy pensjonariusze. Ich oczy spoczęły na

Amy. Słyszeli, jak Kitty wołała, że sprawa jest bardzo pilna, a w Iluce pilne sprawy budzą wielką ciekawość oraz emocje.

Tego brakuje temu miasteczku. Silnych emocji. Ci starszankowie nie grają w kręgle na dywanie, ponieważ ich to pasjonuje. Powiodła po nich wzrokiem.

– Obawiam się – zaczęła – że będę zmuszona przerwąć wam tę partię. Potrzebuję waszej pomocy.

Gdy kwadrans później przed dom spokojnej starości zajechał policyjny samochód, wszyscy byli gotowi na jego przyjęcie.

Jeff Packer trąbił jak opętany, by dać wszystkim do zrozumienia, że sytuacja jest wyjątkowa, lecz oni byli już na to przygotowani. Więc gdy Joss otworzył tylne drzwi, zobaczył całą asystę, taką samą, jaka by go powitała przed izbą przyjęć jego macierzystego szpitala w Sydney.

Ujrzał nosze na kółkach, z materacem i lśniąco białym prześcieradłem. Przy nich trzech mężczyzn: dwóch po bokach, jeden z tyłu, oraz trzy kobiety. Wszyscy mieli na sobie śnieżnobiałe fartuchy i wyglądali bardzo profesjonalnie. Lecz wszyscy byli po osiemdziesiątce!

Nim się zorientował, co zamierzają zrobić, starszankowie przystąpili do akcji.

– Charles, zsuń nosze z kółek. O tak. To samo się podniesie. Ian, świetnie. Wsuń nosze do samochodu. Obok niej, tak żeby można było ją na nie przełożyć. Ted, zablokuj kółka.

Joss podniósł wzrok znad pacjentki. Głos, który wydawał polecenia, na pewno nie należał do starszki. Ta jedna osoba wyraźnie odstawała od reszty ekipy.

Młoda kobieta. Nawet nie trzydziestoletnia, lecz w porównaniu z jej towarzyszami wyglądała jak dziewczynka. Niesamowita. Wysoka i smukła. Miała wyrazistą opaloną buzię, szare, inteligentne i roześmiane oczy oraz kruczoczarne włosy splecione w długi warkocz. Spod białego fartucha wystawała jej sukienka w kwiatki. Sprawiała wrażenie osoby energicznej i kompetentnej. Jakiej jeszcze?

Oprócz urody było w niej coś więcej...

– Amy Freye – przedstawiła się. – Jestem tu szefową. Możemy ją przenieść?

– Eee, tak, oczywiście. – Udało mu się skoncentrować na pacjentce. Leżała na kocu rozścielonym na podłodze auta. Nic więcej nie mieli, a nie mogli czekać na specjalistyczny środek transportu. Joss nie dopuszczał do siebie myśli, że będzie musiał odebrać poród w strugach deszczu.

– Zaczekaj. – Amy lekko wskoczyła do środka, błyskawicznie oceniła sytuację i wkroczyła do akcji. Wprawnym ruchem wsunęła ręce pod lędźwie leżącej, po czym spojrzała na Jossa, dając mu do zrozumienia, że oczekuje jego współpracy. – Podnosimy razem. Raz, dwa, trzy.

Przełożyli bezwładne ciało na nosze.

– Wsuńcie kółka noszy na miejsce – rozkazała – a teraz ciągnijcie.

Nosze, bez żadnych komplikacji, znalazły się na wózku.

– Lionel, zajmij się psem – poleciła, a Joss aż zamrugął ze zdumienia. Trzy najlepsze pielęgniarki w Sydney nie zrobiłyby tego tak fachowo. Ta dziewczyna nawet zauważyła psa! Nim zdążył zapewnić Bertrama, że nie ma czego się bać, ktoś już podawał

Lionelowi ręczniki, a ktoś inny podtykał psu chrupki pod nos. Skoro jego ulubieniec znalazł się w psim rajku, on spokojnie skoncentruje się na rodzącej.

– Za mną – rzekła Amy.

Nosze ruszyły z miejsca. Drzwi otwierały się przed nimi jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Staruszkowie pchali wózek z taką lekkością, jakby byli dwa razy młodszy. Joss nie miał wyjścia, jak tylko podążać za nimi.

Dokąd przywiózł go ten policjant? Dopiero w środku zorientował się, że nie trafił do szpitala. Znalazł się w sali z niezwykłym widokiem na morze. Wszędzie stały skórzane kanapy i fotele, a na ścianach ciągnęły się półki z książkami. Na podłodze leżał wielki perski dywan. Ktoś kleił tu latawca wielkości małego pokoju.

W sali było kilka osób w podeszłym wieku.

– Wiadomo, kto to jest? – zapytała Amy.

– Nie. Nie miała żadnych dokumentów. Sierżant Packer skontaktował się z drogówką. Podał numery rejestracyjne. Nie otrzymał jeszcze odpowiedzi.

Pokiwała głową. Otwierała kolejne drzwi, prowadząc nosze szerokim korytarzem aż do ostatniego wejścia.

– To jest nasz gabinet zabiegowy – oznajmiła, wpuszczając Jossa do środka. – To wszystko, czym dysponujemy.

Gdy policjant oznajmił, że jedynym miejscem, do którego mogą zawieźć nieznajomą, jest dom starców, nogi się pod nim ugięły. Przeraziła go myśl o porodzie w takich warunkach. Teraz miał przed sobą niewielką salę operacyjną. Idealnie czystą, lśniąca chromem i szkłem. Z odpowiednim oświetleniem. Odetchnął z ulgą. Poczul, że będzie w stanie sprostać zadaniu, które go czeka.

– Czy rzeczywiście jest pan lekarzem?

Przytaknął, nie mogąc otrząsnąć się z wrażenia.

– Tak. Chirurgiem w szpitalu miejskim w Sydney – odparł, oglądając źrenice rodzącej.

Ściągnął brwi. Jaka może być przyczyna tak długotrwałej utraty przytomności? Przydałoby się ją przeświecić. Najpierw dziecko. Ma dwoje pacjentów, nie jednego.

– Tutaj może się pan umyć. – Amy była też zaniepokojona. Oboje widzieli skurcz, który przebiegł przez nabrzmiały brzuch. – A może... przeświecenie?

– Muszę sprawdzić stan dziecka. – I się umyć.

– Posłucham tętna. Umywalka jest tam. Marie pokaże.

Chyba stuletnia dziarska staruszka wzrostu krasnala zmaterializowała się u jego boku.

– Tędy, doktorze.

Ruszył za leciwą pomocnicą, która wcale nie sprawiała wrażenia pensjonariuszki domu starców.

Nie było czasu na zadawanie pytań. Uniósł umyte ręce, by Marie naciągnęła mu rękawiczki, gdy zawołała go Amy.

– Mamy problem – oświadczyła. Już wcześniej rozcięła sukienkę kobiety. – Marie, przytrzymaj stetoskop. W tym miejscu. – Podała słuchawki Jossowi.

Słuchał w napięciu.

– Cholera. – Tętno płodu słabło. Pospiesznie zbadał kobietę. Główka już przesunęła się do dróg rodnych, ale nie było rozwarcia. Poród kleszczowy nie wchodzi w rachubę. Co oznacza... cesarskie cięcie. Tutaj?

– Nie wiemy, jak ona się nazywa – zauważyła Amy.
– Podejmie się pan?

Dane personalne to najmniejszy kłopot. Operowanie

bez zgody pacjenta zawsze łączy się z dużym ryzykiem, ale w sytuacji zagrożenia lekarz nie ma wyboru.

– Oczywiście. Ale czy...?

– Mamy środki i sprzęt do znieczulenia ogólnego – poinformowała go. – Lekarz z Bowry wykonuje tu mniejsze zabiegi, ale obawiam się, że znieczulenie nadoponowe nie wchodzi w rachubę. – Zawahała się. – Nie umiem tego.

Spojrzała mu prosto w oczy, a on wyczytał w nich kojący spokój. Po raz kolejny pomyślał, że nieczęsto spotyka się osoby tak opanowane w sytuacjach kryzysowych.

– Jaką ma pani specjalizację? – zapytał, obawiając się, że będzie musiał jednocześnie podjąć się dwóch ról: anestezjologa i chirurga. Lecz ma ją do pomocy.

– Pan mnie źle zrozumiał – oznajmiła chłodno. – Nie jestem lekarzem. Jestem pielęgniarką. Pracowałam na traumatologii oraz kilka lat w sali operacyjnej. Mamy tu tylko jednego lekarza, więc czasem w nagłych przypadkach podawałam znieczulenie ogólne. Dlatego mamy tu te leki. Jeśli mi pan pomoże, mogłabym wziąć na siebie to zadanie.

Zdumiała go jej gotowość do podjęcia takiego wyzwania. Pielęgniarka w roli specjalisty?! Czy można jej zaufać?

Nie miał wyboru. Zbadał kobietę. Stwierdził, że dziecko jest jeszcze całkiem daleko, lecz jego tętno zaczyna słabnąć. Wszelka zwłoka może okazać się tragiczna w skutkach.

Nie wykona cesarskiego cięcia bez znieczulenia. Kobieta wprawdzie jest nieprzytomna, ale wstrząs wywołany nacięciem mógłby ją obudzić. Do tego potrzebny jest specjalista anestezjolog; sam przecież nie

wystąpi w podwójnej roli chirurga i anestezjologa. Ta dziewczyna wyraziła gotowość podjęcia się tego, co wymaga lat praktyki.

– Zrobię to – powtórzyła.

Spojrzał jej w oczy.

– Jest pani tego pewna?

– Tak.

– Czy zdaje sobie pani sprawę z tego, że jeśli ona jest ubezpieczona...

– Ryzujemy oboje. Ale musimy, bo w przeciwnym razie dziecko umrze.

Taka postawa przeczyła wszystkiemu, co wpajano mu przez całe lata. Pielęgniarka w roli anestezjologa?

Ona ma rację. Nie ma wyboru.

– Bierzmy się do roboty.

Była to najbardziej niezwykła operacja w jego życiu. Otrzymał liczną asystę, lecz w całym zespole tylko on i Amy mieli mniej niż osiemdziesiąt lat. Najczęściej współpracował z Marie, która podawała mu instrumenty. Nie miał pojęcia, jakie miała wykształcenie, lecz jako instrumentariuszka była bezbłędna. Ona też miała pomocnika w osobie innej staruszki, która segregowała instrumenty i obsługiwała sterylizatory. Tuż obok stał mężczyzna z ogrzanym kocikiem. Co kilka minut drzwi uchylały się i ktoś podawał nowy ciepły kocik, tak aby w chwili narodzin był pod ręką. Na korytarzu pracował drugi zespół, odpowiedzialny za przenoszenie kocyków i dostawę gorącej wody.

Joss pilnie obserwował ich poczynania. Sprawdził instrumenty, sterylizatory, zestaw do znieczulenia.

– Gotowa? – zwrócił się do Amy.

– Gotowa – odparła, nie tracąc zimnej krwi.

Gdy przyjrzał się jej dokładniej, zauważył, że jednak

kosztuje ją to dużo wysiłku: w jej oczach czaił się strach. Uznał, że nie ma już czasu na dociekanie jego przyczyny. Dziewczyna podjęła decyzję i nie ma od niej odwrotu.

– Bierzmy się do roboty.

Przytaknęła. W milczeniu uniosła strzykawkę, by sprawdził dawkę środka. Teraz on skinął głową, po czym przyglądał się, jak wprawnym ruchem wbiła ją do pojemnika kroplówki. Czekał. Amy tymczasem spojrziała na monitor, po czym z wprawą zaintubowała nieprzytomną. Zauważył, jak miejsce strachu w jej oczach stopniowo zastępuje skupienie.

Poczuł, że mięśnie pacjentki wiotczeją.

Ta Amy jest świetna, pomyślał z radością. Zna się na swoim fachu. Nie pozostało mu nic innego, jak zająć się tym, co należy do niego. Zdezynfekował brzuch kobiety, uniósł skalpel i rozpoczął zabieg uwalniania noworodka.

ROZDZIAŁ DRUGI

Operacja przebiegała jak w zegarku.

Jego asysta była dość niezwykła, lecz spisywała się bez zarzutu. Gdy przecinał powłoki brzuszne, leciwa Marie nie proszona podawała mu instrumenty, a gdy czasami musiał ją o coś poprosić, reagowała bezbłędnie. Znieczulenie Amy też było wzorowe. Na razie wiedział, że ma wszystko, czego potrzebuje oraz że serce rodzącej pracuje prawidłowo.

Oby tylko wytrzymało serce płodu. Gdy zamierzał zwrócić się z kolejną prośbą, druga staruszka natychmiast odczytała jego życzenie: nacisnęła macicę, by mógł wsunąć dłoń w nacięcie.

– Oto ono. – Uniósł główkę dziecka, odwracając ją na bok, by nie zachłysnęło się płynem.

Ich oczom ukazała się maleńka dziewczynka. Joss oglądał ją tylko przez chwilę, bo nim zdążył przeciąć pępowinę, wyciągnęła się po nią kolejna para rąk. Ktoś oczyścił jej usta, by mogła zaczerpnąć powietrza, a starszy pan podsunął ogrzany kocyk. Świetnie im to idzie!

– Zajmiemy się nią – zapewniła go Amy, dając mu do zrozumienia, że powinien skoncentrować się na dorosłej pacjentce. – Wygląda zdrowo.

Jeszcze urodzenie łożyska, założenie klamer oraz szwów. Miał nadzieję, że staruszkowie na czas udrożnią drogi oddechowe dziecka. Amy ich przypilnuje. Zdążył już się zorientować, że jest wyjątkowo kompetentną

pielęgniarką, na dodatek zdolną zastąpić anestezjologa. Tylko kilka razy potrzebowała jego opinii w sprawie dawek, o reszcie umiała sama zdecydować.

Gdy pochylał się nad swoim zadaniem, usłyszał długo oczekiwany odgłos. Płacz zdrowego noworodka. To znaczy, że przyczyną nieprawidłowego tętna był stres, pomyślał z ulgą. Długi poród oraz wstrząs spowodowany wypadkiem.

Amy nadal czuwała nad rurką intubacyjną. Młoda matka była blada jak płótno, a z rany nad uchem leniwie sączyła się krew. Zszyje ją, zanim dziewczyna się obudzi. Przydałyby się nowoczesne technologie. Mógłby się wtedy dowiedzieć, czy doszło do krwotoku wewnątrz czaszki.

– Możemy zrobić jej prześwietlenie. – Amy znowu czytała w jego myślach. – Jest tu aparat rentgenowski. Nie wykaże ciśnienia, ale dowiemy się, czy jest pęknięcie czaszki.

– Nie mamy szansy na pomoc z zewnątrz? – Przydałby mu się tomograf. A najlepiej porządny wielkowiejski szpital.

– Ani cienia, dopóki pada. Przy normalnej pogodzie śmigłowiec ląduje na polu golfowym, ale nie teraz. Za dużo tu wzgórz. – To znaczy, że zdani są na własne siły. – Będzie dobrze – rzekła półgłosem.

Ich spojrzenia się spotkały. Oboje poczuli, że ta niezwykła sytuacja ich połączyła. Joss zaniepokoił się. Takie elektryzujące spojrzenia nie zdarzały mu się w sali operacyjnej. Ani poza nią. Lecz ta kobieta...

Miał wrażenie, że ją zna. Wcale jej nie zna.

– Jeszcze nie skończyliśmy – mruknął bardziej szorstko, niż zamierzał. – Trzeba oczyścić jamę brzuszną i pozszywać.

Amy w skupieniu, pod dyktando Jossa, zakończyła anestezję. Na koniec sztywna ze strachu wyjęła rurkę do intubacji. Kobieta chrapliwie zaczerpnęła powietrza. Zrobiłam to, pomyślała Amy. Pierwszy raz w życiu! Z ulgą zamknęła oczy. Gdy podniosła powieki, lekarz z Sydney stał tuż obok.

– Co ci jest? – zapytał.

– Nic. W porządku. – Próbowała uniknąć jego wzroku, lecz jej nie pozwolił, mocno przytrzymując ją za ramiona.

– Ile znieczuleń masz na swoim koncie?

– Hm... Jedno – wyznała. – Wczasowicz przyciął sobie członka zamkiem w spodniach. Gdy nasz lekarz był zajęty innym pacjentem, facet wpadł z krzykiem do ambulatorium. Gdybym go nie znieczuliła, zostałby impotentem na całe życie.

– To bardzo prosty rodzaj znieczulenia.

– Wiem. – Odetchnęła głęboko. – Ubezpieczenia są naszą zmurą i gdyby coś poszło nie tak, sąd mógłby zasądzić na jego korzyść milionowe odszkodowanie, z którego nigdy bym się nie wypłaciła. Nie powinnam była tego robić. Wtedy ani teraz. Ale widziałam, jak robili to specjaliści. Uznałam, że nie mam wyjścia. Co by ci dało, gdybym się przyznała, że nie mam o tym pojęcia?

Joss zaniemówił z podziwu.

– Amy, byłaś fenomenalna! – pospieszyła Marie. – Dałaś prawdziwy popis. Doktorze, czy Amy nie była wspaniała?

Objął wzrokiem wszystkich zebranych w sali. Miał czterech pomocników. Troje starszuchów oraz Amy. Oraz jednego zdrowego noworodka i młodą kobietę, której twarz zaczynała nabierać kolorów. Dzięki tym

ludziom dziecko będzie żyło, a jego matka otrzymała szansę przeżycia. Tylko dlatego że Amy podjęła ryzyko, nie oglądając się na prawne konsekwencje. A także dlatego, że ci starzy ludzie byli gotowi zapomnieć o swoim wieku, by zrobić co w ich mocy. To im dziecko zawdzięcza życie. Oraz to, że będzie miało matkę.

– Wszyscy byliście wspaniali – oświadczył Joss, uśmiechając się szeroko. Gdy popatrzył znowu na Amy, coś w nim drgnęło. Nie wiedział co. Zajmie się tym kiedy indziej. Teraz nie pora na analizowanie tajemniczych doznań. – Spisaliście się na medal.

Przejął dziecko od Marie. Dziewczynka zakwiliła, ale tylko po to, by pokazać, że umie. Owinięta kocykiem odwracała pomarszczoną twarzyczkę, rozglądając się po nowym świecie.

– Potrzebujesz mamy, maleństwo – szepnął Joss. Jak na zawołanie od strony stołu dobiegł go odgłos szpazmatycznie chwytanego powietrza. Raz. I drugi.

– Budzi się – szepnęła Amy.

Kobieta była zdezorientowana, lecz definitywnie wracała do rzeczywistości. Joss ujął jej dłoń i cierpliwie czekał. Gdy straciła przytomność, jechała do miasta ciężarówką. Teraz znalazła się w sali przypominającej szpital. I jest matką. Nic dziwnego, że trudno jej ogarnąć, co się stało.

– Proszę o nic się nie obawiać – przemawiał do pacjentki. Amy szeroko otworzyła oczy. Zrobił na niej wrażenie człowieka stanowczego i surowego, lecz ten ton zupełnie temu przeczył. – Nazywam się Joss Braden. Jestem lekarzem, ponieważ znajduje się pani w szpitalu. Miała pani wypadek. – Nieznacznie kiwnęła głową. – Ma pani już śliczną córeczkę. – Pokazał jej zawiniątko. Długo trwało, nim to do niej dotarło. – Ej, nie ma

powodu do płaczu. Musieliśmy zrobić cesarskie cięcie, ale poza tym wszystko jest w porządku.

Amy w milczeniu obserwowała tę scenę. Podobnie jak jej wiekowy zespół. Pozostali tłoczyli się na korytarzu, za uchylonymi drzwiami. Ciekawe, ile par uszu tam nasłuchuje? – pomyślała Amy, zdobywając się na uśmiech. Niech usłyszą, że wszystko skończyło się szczęśliwie.

– Jak pani ma na imię? – pytał Joss.

– Charlotte – odparła kobieta szeptem.

– A nazwisko?

Cisza. Mniejsza o nazwisko, pomyślała uradowana Amy. Nazwisko może poczekać. Lecz Joss nadal wypytawał pacjentkę, by ocenić jej stan. O dziecko już się nie martwił.

– Charlotte, ma pani ranę głowy. Muszę zadać pani kilka pytań, aby się upewnić, że jest pani przytomna.

Wpatrywała się w dziecko, ale go słuchała.

– Czy wie pani, jaki mamy dzisiaj dzień?

Zastanowiła się.

– Piątek. Dwudziesty piąty?

– Tak. Czy wie pani, kto w tym tygodniu wygrał finał piłki nożnej?

To proste. Dziewczyna uśmiechnęła się słabo.

– Bombersi. Hura! – próbowała żartować.

Amy ucieszyła się, lecz Joss spochmurniał.

– Super. Wcale nie wiem, czy jestem zachwycony, że wpuściłem na ten świat kolejnego kibica Bombersów – mruknął, po czym szeroko się uśmiechnął. – Jak się pani nazywa? – powtórzył pytanie.

O jedno za dużo. Kobieta zrobiła nieznaczny ruch głową, po czym przymknęła powieki. Joss dał jej spokój.

– Charlotte, jeszcze tylko prześwietlimy pani głowę, a potem pozwolimy wam, dziewczynki, spać.

– Czy możesz mi wytłumaczyć, co się tu dzieje?

Gdy w końcu młodą matkę z dzieckiem przewieziono do osobnego pokoju i pozostawiono pod opieką aż dwóch pielęgniarek ochotniczek, Amy i Joss mogli pomyśleć o sobie.

– Co chciałbyś wiedzieć? – Amy padała z nóg. Czuła się jak po biegu maratońskim. Ściągnęła z ramion biały fartuch, odrzuciła go na bok i pomogła Jossowi rozwiązać troki jego stroju operacyjnego. Miała tylko jeden taki zestaw, więc reszta jej naprędce skompletowanego zespołu siłą rzeczy musiała przywdziać zwyczajne białe fartuchy.

– Opowiedz mi, skąd wzięła się moja asysta. To cud.

– Podobnie jak to, że mieliśmy lekarza. To był jeszcze większy cud. Charlotte mogła zderzyć się z kim innym.

– Miała dużo szczęścia – przyznał z uśmiechem.

Amy stała wprawdzie za nim, rozwiązując mu fartuch, ale zobaczyła ten uśmiech w lustrze. Była urzeczona. Taki szeroki, wesoły uśmiech. Sympatyczny. Prawdę mówiąc, reszta była równie zachęcająca.

Pochylił się, by zdjąć operacyjne kaptcie. Jednocześnie kątem oka obserwował Amy, która robiła to samo. Uznał, że pod pielęgniarskim strojem Amy Freye jest całkiem niezła. Była wysoka i ładnie opalona. Podobały się mu jej szare oczy, z których bił spokój, i gruby czarny warkocz. Miał ochotę...

Zaraz! Co się dzieje? Stary, opanuj się.

– Co taka osoba jak ty robi w takiej dziurze? – zapytał, ze zdumieniem patrząc na jej niespodziewanie tężejące rysy. – Przyszło mi do głowy, że z takimi kwalifikacjami...

– Byłabym bardziej na miejscu w wielkim szpitalu? Dobrze, że tam nie byłam.

- Tak, mieliśmy szczęście – odrzekł poważnie.
 - Gdyby cię tu nie było, stracilibyśmy to dziecko.
 - Uważasz, że Marie nie zrobiłaby znieczulenia?
 - Tego właśnie nie rozumiem.
 - Marie?
 - Tak. I jej koleżanek.
 - Spodobał ci się mój zespół?
 - Jeszcze z takim nie miałem do czynienia.
- Roześmiała się serdecznie.

– To prawda, różni się nieco od personelu wielkiego szpitala! Jeszcze godzinę temu patrzyłam w sufit i zastanawiałam się, jak sobie poradzę. Potrzebowałam zespołu, a nie miałam nikogo. Tak mi się wydawało. Tutaj mieszkają sami emeryci. Ale emeryci to też ludzie, a środowisko medyczne jest bardzo liczne. Kazałam podnieść rękę tym, którzy mieli związek ze służbą zdrowia, i nagle okazało się, że mam do dyspozycji kierownicę karetki, dwóch pielęgniarzy i trzy wysoko wykwalifikowane pielęgniarki. Oraz lekarza. Ale on ma dziewięćdziesiąt osiem lat i myśli, że jest Karolem Pierwszym, więc odesłałam go do rezerwy.

Niezwykła kobieta. Nie mógł wyjść z podziwu.

To niesamowite doświadczenie, pomyślał. W Sydney był trybikiem w wielkiej maszynie. Z racji talentu wzywano go wszędzie tam, gdzie inni lekarze mieli wątpliwości. Swoich pacjentów po raz pierwszy i ostatni widział na stole operacyjnym. Miał też do dyspozycji wyselekcjonowany zespół współpracowników. A tutaj...?

Wspólnie uratowali ludzkie życie!

- Nie proszę ich o to codziennie – mówiła Amy, nieświadoma, jakimi drogami podążają jego myśli.
- Marie rano wzięła trzy tabletki, żeby zapanować nad

duszną. Niewielu z moich podopiecznych nadaje się do samodzielnego życia, lecz w trudnych chwilach są niezastąpieni. Mimo że teraz serce Marie wali jak młotem, kategorycznie odmówiła odpoczynku. Oświadczyła, że jest potrzebna i że nie będzie miała do nikogo pretensji, jeśli umrze, na coś się komuś przydadając.

Kapitałna sprawa. Nurtowało go jednak jeszcze coś.

– Gdzie jest reszta twojego personelu?

– Jakiego personelu?

– To jest dom starców. Zakładam, że oprócz ciebie zatrudnionych jest tu więcej pielęgniarek.

– Jeszcze dwie. Mary i Sue-Ellen. Pracują na zmianę, po osiem godzin. Więcej pielęgniarek tu nie ma.

– A powinno być – zauważył po namyśle.

– Niekoniecznie. Tylko osiem łóżek jest zarejestrowanych jako miejsca dla obłożnie chorych. Reszta pensjonariuszy przebywa tu z własnej woli. Do nich wystarczy na dyżurze jedna pielęgniarka.

– A nagle wypadki?

– Nie mogę wezwać Mary ani Sue-Ellen. Na dzisiejszą noc nie mam nikogo.

– Święta?

– Wtedy dyżuruję przez szesnaście godzin – odparła beztrąsko. – Dzięki temu nie włożę się po mieście.

– Nie żartuj! W głowie mi się to nie mieści.

– Osoby z wykształceniem medycznym nie uważają Iluki za atrakcyjne miejsce. Nie ma tu ludzi poniżej sześćdziesiątki. Obydwie pielęgniarki są po pięćdziesiątce, a mieszkają tu, bo ich mężowie przeszli na emeryturę. Kitty, nasza recepcjonistka, jest tutaj z powodu ciężko chorej matki, a sprzątaczkę i kucharkę od dawna są w wieku emerytalnym. Więcej nas tu nie ma.

– Cała Iluka to dom starców?

– Bez wątpienia. – W jej oczach malował się niezrozumiały smutek. – Ale jakoś sobie radzimy. Na przykład dzisiaj. Czy moi starszycy nie byli cudowni?

– Byli fenomenalni – przyznał. Myślał jednak o jej kłopotach, a nie o tym, co się wydarzyło. – To znaczy, że te dwie damy, które teraz siedzą przy Charlotte...

– Marie i Thelma? Są w swoim żywiole. Obydwie mają kilkudziesięcioletnie doświadczenie jako pielęgniarki. Thelma ma początki Alzheimera, ale była przelożoną w Sydney, a w tym zawodzie wiele czynności wykonuje się niemal instynktownie. Jest z nią Marie. Ta z kolei pracowała w szpitalu w buszu. Fizycznie jest słaba, za to umysł ma kryształowo jasny, więc we dwie stanowią najlepszą opiekę pod słońcem dla młodej matki i dziecka. W razie potrzeby mają mnie.

Spojrzał jej w oczy. *Mają mnie*. Powiedziała to bez najmniejszego wahania. Jak często jest im potrzebna?

– Nie martw się – pocieszała go. – Gdybym nie była pewna, że sobie radzą i jednocześnie czerpią z tego radość, byłabym z nimi. Wystarczy po mnie zadzwonić. – Spoważniała, widząc, że ściągnął brwi. – Co cię niepokoi? Charlotte nie ma objawów uszkodzenia mózgu, a maluch jest zdrowy jak rydz. Musimy tylko poznać jej nazwisko.

– To też jest dla mnie niejasne. Policjant powiedział, że ona nie jest stąd. I nikt jej dotąd nie rozpoznał.

Zdziwiło ją to już na samym początku. Znała absolutnie wszystkich mieszkańców miasteczka. Udało się jej nawet dopasować Jossa do tego krajobrazu. David i Daisy Bradenowie od tygodni nie mówili o niczym innym, jak o wizycie ich genialnego syna chirurga. Wszyscy wiedzieli, o której godzinie przyjechał, co

Daisy poda na kolację, dokąd David zabierze go na ryby i tak dalej.

– Chciałaś coś powiedzieć? – zapytał, a ujrawszy jej promienny uśmiech i dołeczki nad kącikami ust, nie bardzo był w stanie skupić się na tym, co mówiła.

– Przyszło mi do głowy – zaczęła z namysłem – żeby zlecić mieszkańcom Iluki identyfikację naszej tajemniczej młodej matki. Dużo mi opowiadali o tobie.

– Czyżby? – Był wyraźnie zbity z tropu. Bezskutecznie próbował oderwać wzrok od jej warg.

Obie strony obserwowały się uważnie. Wygląda bardzo sympatycznie, gdy jest zakłopotany, pomyślała Amy. Tak, sympatycznie. Znowu to samo słowo, lecz ono najlepiej go określało. Im dłużej z nim przebywała, tym bardziej jej się podobał. Był od niej nieco wyższy, miał kasztanowe kręcone włosy i zielone wesołe oczy.

W co był ubrany? Gdy przebierał się do operacji, ściągnął z siebie sweter i natychmiast narzucił fartuch, więc nie miała czasu przyjrzeć się mu uważniej. Dopiero teraz zobaczyła go w zwyczajnym stroju. Trochę ją zaskoczył. Miał na sobie spłowiałe džinsy i biały T-shirt z czarnym napisem: „Byłaś bardzo niegrzeczna. Marsz do mojego pokoju!”

Zamrugła powiekami, po czym się uśmiechnęła. Nie tak sobie wyobrażała garderobę młodego lekarza z Sydney.

– O co chodzi? – zapytał niewinnie Joss.

– Chyba nie powinnam przebywać z tobą w tym samym pokoju. – Wskazała na jego koszulkę.

O kurczę! Zupełnie o tym zapomniał. Był to urodzinowy prezent od ojca. Kochany tatko nie ustawał w wysiłkach, by zachęcić go do ożenku. Nic z tego.

– Muszę porozmawiać z Jeffem – rzekła Amy.

– Ja też. Przecież on ma mojego psa! A może przekazał go twoim podopiecznym?

– Jest z Lionelem. Widziałam go. I dużo o nim słyszałam. Myślałam, że jest większy.

– Rozmawiałaś z moją macochą?

– Możliwe.

Westchnął.

– W oczach Daisy Bertram jest wielkości słonia. A to dlatego że nie pozwala nikomu wejść mi na kolana. Tylko on ma ten przywilej, a jej paskudny pekińczyk bardzo mnie sobie upodobał.

– Szczęściarz z ciebie.

– Powiedzmy. – Skąd ta beztroska? Szok powypadkowy? Czy to sprawka tej dziewczyny? Stary, trzymaj się wyłącznie tematów zawodowych. – W ciężarówce nie znaleźliśmy żadnych dokumentów. Policja miała zająć się identyfikacją numerów rejestracyjnych.

– Musimy dokładnie zbadać dziecko – zauważyła.

– Zajmę się tym. – Czuję, że powoli się wycofuje. Uchylił nieco swojej skorupy, ale nie zamierzał otwierać jej szerzej. Musi wyjechać. – Jak się stąd wydostać?

– Wyjeżdżasz?

– Byłem w drodze do Sydney, kiedy moje auto zostało skasowane.

– Twój ojciec mówił, że przyjechałeś na dwa tygodnie. – Skrzywił się. – Znudziło cię towarzystwo młodej pary? – spytała ze współczuciem.

– Znasz mojego ojca i Daisy?

– Oczywiście. Zanim poznała twojego ojca, była na liście moich potencjalnych podopiecznych. Oni są bardzo szczęśliwi.

– Oni zawsze są szczęśliwi.

– Jak mam to rozumieć?

– To jego czwarta żona – rzekł z goryczą.

Tak, pod tą maską kamiennego spokoju kryje się smutek.

– Rozwody?

– Śmierć. Za każdym razem. Miałem nadzieję, że ojciec nabierze rozumu.

– I zrozumie, że ludzie umierają?

– Tak.

– Możesz się rozczarować – powiedziała, zniżając głos. – A może nie? Może twój ojciec po prostu nie ma szczęścia.

– On ciągle próbuje zapłacić lukę...

– Po twojej matce?

O czym ty z nią rozmawiasz? Czy ją to interesuje? Dlaczego jej się zwierzasz? Ona jest pielęgniarką, a ty przecież nie zwierzasz się koleżankom po fachu. Nie otwierasz się przed nikim. Zorientowała się, że Joss wolałby zmienić temat.

– Masz dwa tygodnie urlopu, prawda? Iluka wcale nie jest taka straszna.

– Wyjeżdżam.

– Którędy?

Speszył się.

– Jak przestanie padać.

– A przestanie?

– Nie bądź złym prorokiem. „Będzie lało przez czterdzieści dni i nocy, więc zacznijcie budować arkę.”

– Wyjedziesz, jak przestanie padać. Zauważ, że jeszcze należałoby odbudować most. Może uruchomią prom.

– Mógłbym polecieć śmigłowcem – rzekł bez przekonania.

– Nawet jak nie będzie padało, to wątpię, żeby udało

ci się kogokolwiek na to namówić. Chyba tylko z powodu jakichś nadzwyczajnych okoliczności. Ale znudzenie widokiem zakochanego ojca to nie poważna przyczyna.

– Wobec tego morzem.

– Byłeś w porcie? Za wysoka fala. Owszem, za jakiś czas przyplyną tu łodzie z zaopatrzeniem, ale nieprędko. Joss, obawiam się, że jesteś skazany na nasze towarzystwo.

Joss. Jak to ładnie brzmi w jej ustach. Krzepiąco.

– Nie wrócę do nich, bo zwariuję.

– Są nieznośni?

– Trzymają się za ręce! Przy stole.

Amy wybuchnęła śmiechem.

– Oj, nie jest pan romantykiem, panie doktorze! No proszę, w takiej koszulce!

Uśmiechnął się krzywo.

– Nie jestem romantykiem. Jest tu jakiś hotel?

– Nie.

– Może w tym pensjonacie znalazłby się wolny pokój?

– Ojciec by się śmiertelnie na ciebie obraził, gdybyś zatrzymał się w domu starców, zamiast u niego.

Cholera, na pewno byłby urażony.

– Jaki znalazłeś pretekst, żeby tak nagle wyjechać?

– Że muszę przygotować referat na konferencję.

– Na widok niedowierzania w jej oczach westchnął. – To święta prawda.

– Wierzę. – Rozbawił ją. – Chociaż inni by nie dali temu wiary. Chyba już rozwiązałeś ten problem.

– Jak to?

Zawahała się, ponieważ nie była pewna, czy postępuje słusznie.

– Jeśli potrzebujesz spokoju, możesz zatrzymać się

u mnie. Mój dom jest idealnym miejscem do przygotowywania ważnych konferencji.

– Nie mieszkasz tutaj?

– Chyba żartujesz! – Uśmiechnięta wyglądała jeszcze młodziej. – Coś ty! Mam dwadzieścia osiem lat. Nie dojrzałam jeszcze do tego, żeby spędzać cały czas w domu starców.

Co taka młoda pielęgniarka robi w takiej dziurze? Opiekuje się mężem? Rodzicami? Mimochodem szukał spojrzeniem serdecznego palca jej lewej dłoni.

– Gdzie mieszkasz?

– W alei Milionerów.

– Słucham?

– Ojciec nie oprowadził cię po miasteczku?

– Owszem. Nie mów, że mieszkasz w tych...?

– A jakże. Mam tam najbardziej okazałą i najbardziej pretensjonalną rezydencję. Tylko dla siebie. Możesz wybierać wśród dziewięciu pokoi gościnnych i trzech basenów. Ty i twój pies możecie mieć osobne pokoje. Powiedz ojcu, że do pisania musisz mieć spokój. Możesz pisać, ile chcesz. I nie musisz mnie oglądać. Jeśli ci to odpowiada...

Jasne, że mu odpowiada. Co się za tym kryje?

– Wiesz co? – Usłyszał jej głos. – Mam dużo roboty, a ty musisz zająć się noworodkiem oraz psem. I chyba powinieneś skontaktować się z sierżantem w sprawie twojego auta. Lunch jest o dwunastej. Będziesz mile widziany. O drugiej kończę pracę. I wtedy cię tam zawiozę.

– Czuję się, jak zagubiony piesek – jęknął.

– Tak wyglądasz.

– Amy!

– Rozumiem. Nigdy jednak nie umiałam się pogodzić

z tym, że pielęgniarka ma lekarzom okazywać szacunek. To okropne, nie? Zastanów się. Masz czas się rozmyślić.

Na pewno nie zmieni zdania. Nie zamierza ani minuty spędzić w towarzystwie ojca i Daisy. Co gorsza, im dłużej obserwował Amy, tym większą miał ochotę pomieszkać z nią kilka dni pod tym samym dachem. Czyżby oszalał?!

– Hm. Nie zmienię zdania – odparł, a ona roześmiała się, jakby wiedziała, o czym myślał. Bardzo go to speszyło.

– Wobec tego baw się dobrze. Do drugiej.

ROZDZIAŁ TRZECI

Dom Amy był imponujący.

Tak jak mówiła, była to najbardziej pretensjonalna rezydencja w całej okolicy. Joss już całkiem przestał wiedzieć, co ma myśleć. Samochód Amy wyglądał tak, jakby lada moment miał wylądować na złomowisku, jej sukienka była spłowiała i wytarta, ona sama sprawiała wrażenie osoby, która nie ma grosza przy duszy, za to jej dom był niezwykle.

Stał w pewnej odległości od plaży, ale blisko kilometr piaszczystego brzegu należał do włości Amy. Był to piętrowy, ogromny budynek z białego marmuru. Miniaturowy pałac.

- O rany – jęknął Joss.
- Witaj w moich skromnych progach – rzekła Amy.
- Ale...
- Kicz, prawda? Myślisz, że o tym nie wiem? – Wjechała do garażu, w którym pomieściłoby się z dziesięć samochodów. Gdy zgasiła silnik, spod maski buchnął obłok pary.
- Każdy ma swoje priorytety – mruknął.
- Słucham?
- Nie możesz zrezygnować z jednego pokoju, żeby kupić nowy samochód?
- Coś ci się nie podoba? – spytała urażona.
- Ależ skąd. – Postanowił jednak zdobyć się na szczerość. – Właściwie to nic mi się w nim nie podoba.

– Bertram jest innego zdania. – Wysiadła, po czym otworzyła tylne drzwi. Poglaskała rudy łeb, a psisko leniwie się przeciągnęło. – Jeśli on zaakceptował moje auto, to ty nie masz nic do powiedzenia. Bertram jest dżentelmenem.

Uśmiechnął się. Jej pogoda ducha była zaraźliwa.

– Bertram lubi wachać, a tutaj ma atrakcji na całe życie. Pewnie ze cztery pokolenia zostawiły swoje zapachowe wizytówki na twoim tylnym siedzeniu.

Nie słuchała go, zafascynowana aksamitnymi uszami psa.

– Nie masz psa? – zdumiał się.

– Nie. – Zabrzmiało to tak ostro, że aż na nią spojrzął. Stał w obliczu kolejnej zagadki. – Idziemy. – Drzwi garażu zamknęły się za nimi. – Witaj w moim królestwie.

Z każdą chwilą robiło się ciekawiej.

Dom był przestronny, za to umeblowanie wyjątkowo ubogie. Joss szedł szerokim korytarzem. Po obu jego stronach otwarte drzwi prowadziły do zupełnie pustych pokoi.

– Nie rozumiem...

– Mieszkam tylko w jednej części domu. Nie denerwuj się. Znajdę dla ciebie wolne łóżko.

– Cały ten dom należy do ciebie?

– Poniekąd. – Weszli do obszernego salonu z kuchennym aneksem. Był tam prosty stół, dwa krzesła, dwa sfatygowane fotele oraz telewizor. Czarno-biały. I nic więcej.

Joss był coraz bardziej zaintrygowany.

– Domagam się wyjaśnień.

– Jakich wyjaśnień?

– Jestem zaintrygowany – przyznał się.

– Lubię intrygować mężczyzn.

Ta kobieta z każdą minutą jest coraz bardziej tajemnicza! A ten jej uśmiech...

– Opowiesz mi?

– To długa historia.

– Myślę, że z powodu pogody będę miał na słuchanie czterdzieści dni i czterdzieści nocy.

– Muszę iść do pracy.

– Wydawało mi się, że twój dyżur dobiegł końca.

– Mam pełno papierkowej roboty, no i nie chcę zostawiać naszej młodej matki samej. Teraz jest przy niej Mary, ale powinnam ją wesprzeć. Pojadę do nich za godzinę.

– To znaczy, że mamy całą godzinę na opowiadanie i słuchanie.

Amy zaparzyła herbatę. Ona nic nie ma, zdumiewał się, widząc, jak wysypuje herbatę do obtłuczonego czajniczka, a potem nalewa ją do dwóch wyszczerbionych kubków.

– Ten dom należał do mojego ojczyma – zaczęła.

Joss pił herbatę. Bertram ułożył się u jego stóp.

– Należał?

Usiadła na drugim krześle. Wyczuł, że przyniosło jej to sporą ulgę. Po raz kolejny odniósł wrażenie, że Amy jest zmęczona. Wyglądała jak ktoś, kto dawno nie odpoczywał.

– Należał? – powtórzył, a ona przytaknęła. – A teraz do kogo należy?

– Do mnie. Pod warunkiem, że będę tu mieszkać przez dziesięć lat.

Rozejrzał się z niesmakiem.

– Nie zostawił ci mebli?

– Nie.

Joss wahał się.

– Nie myślałaś o tym, żeby go sprzedać i kupić coś mniejszego?

– Nie słuchasz mnie. Przecież powiedziałam, że muszę tu mieszkać przez dziesięć lat.

– To znaczy, że nie masz forsy.

– Zgadłeś. Utrzymanie tego pałacu kosztuje majątek.

– Możesz wynajmować pokoje.

– Nie mam komu. – Westchnęła. Objęła dłońmi kubek, jakby chciała czerpać od niego ciepło. Dom był zawilgocony i zimny. – Wybij to sobie z głowy – powiedziała, podążając za jego wzrokiem. – Nawet nie wiesz, ile kosztują te kaloryfery.

– Dlaczego twoim zdaniem nie przyjeżdżają tu ludzie, którzy mogliby chcieć wynająć pokój?

– Z tego samego powodu, dla którego nikt nie chce tu na stałe zamieszkać. To jest oaza emerytów.

– Nie rozumiem.

– Tutaj nic nie ma.

– Nadal nie rozumiem. Ojciec poślubił Daisy i jest zachwycony perspektywą zamieszkania w tej miejscowości. Podobno mieszkają tu bardzo przyzwoici ludzie.

– Na obszarze jednego hektara. Mamy sklep, pocztę i nic poza tym. Nikt nie ma prawa niczego tu wybudować.

– Dlaczego?

– Wszystko należało do mojego ojczyma, a on zrobił zapis w księgach wieczystych zakazujący dalszej rozbudowy.

– No to co?

– Nie ma tu półhektarowych działek budowlanych. Grunty wzdłuż plaży zostały wykupione przez milionerów, którzy zjeżdżają tu dopiero w sezonie wakacyjnym. Pozostałe działki przyciągnęły kiedyś zwyczajnych

emerytów, którym marzyła się starość w wiejskich plenerach. Teraz to przeklinają.

– Dlaczego?

– Bo tu nic nie ma. – Rozłożyła ręce. – Ludzie tu przyjeżdżają i widzą raj: pola golfowe, kręgielnie, kilometry piaszczystych plaż, więc kupują ziemię i się budują. Dopiero potem odkrywają, że mają większe potrzeby. Usługi medyczne, rozrywki, sklepy. A tu nic. Nie ma szkoły, więc nie ma też młodych ludzi. Emerycy osiedlają się tu, bo jest to miejsce ich marzeń, ale gdy zachorują... Dopóki nie wybudowałam domu opieki, tacy ludzie musieli się stąd wynieść.

– Ty wybudowałaś dom opieki? Jak to możliwe, skoro nie stać cię nawet na przyzwoite filizanki?

Amy wysunęła szufladę, wyjęła z niej złożoną kartkę papieru i podała ją Jossowi.

– Mojej pasierbicy, Amy Freye, zapisuję rezydencję „Na Cyplu”... – Gdy zapoznał się z treścią całego dokumentu, szumiąco mu w głowie.

– Teraz już rozumiesz?

– Chyba tak.

– Iluka naprawdę cierpiała na brak domu starców. Dla wielu par emerytów była to prawdziwa tragedia. To słabsze lądowało w domu opieki w Bowrze, a drugie zostawało tutaj. Zdane na łaskę losu. Za każdym razem, gdy mieli dosyć samotności i bezradności, ojczym kupował ich nieruchomości za pół ceny. Znalazł żyłę złota.

– Chyba nie musieli sprzedawać tylko jemu? Nie mogli na rynku?

– Tu było bardzo dużo ograniczeń. Teraz sytuacja nieco zmieniła się na lepsze. Wtedy było to niemożliwe.

– Gdzie jest twoje miejsce w tej opowieści?

– Nigdzie.

Joss wysoko uniósł brwi.

– Ojczym i ja... Nie lubiliśmy się.

– Nic dziwnego.

Pochyliła się, by pogłaskać Bertrama. Jakby brakowało jej pieśczoły. Chyba nikt jej nie przytulał, pomyślał Joss. Instynktownie wyciągnął rękę, by jej dotknąć. Głupi gest. Popatrzyła na niego zdziwiona, więc cofnęła dłoń. Sam był zaskoczony takim gestem.

– Więc dlaczego ci to zapisał? I dlaczego jesteś w trudnej sytuacji?

Troska w jego głosie sprawiła, że Amy aż zamrugła powiekami. Nie mogła pojąć, dlaczego ktoś interesuje się jej losem. Nikogo to nie obchodziło. Nawet Malcolma.

– Muszę już iść.

– Nie musisz. – Wstał, wyjął kubek z jej rąk, wstawił go do zlewu, po czym położył jej dłonie na ramionach i delikatnie posadził ją na krześle, a sam usiadł na wprost. Nie odrywał od niej wzroku. W jego oczach dostrzegła takie zatroskanie i tyle dobroci, że z trudem pohamowała łzy. Kurczę, ona przecież nigdy nie płacze! To chyba ze zmęczenia i z powodu nadmiaru wrażeń wywołanych porannymi wydarzeniami.

Joss czekał.

– Nie ma o czym mówić – zaczęła. – Warunki testamentu...

– Są nieludzkie.

– Możliwe. – Pokiwała głową. – Nie znasz ich.

– Więc mi powiedz.

– Matka wyszła za ojczyma, gdy miałam dziewięć lat. Przeprowadziłyśmy się do Iluki. I dopiero tutaj zorientowałyśmy się, że ojczym jest... potworem. Matka była słabego zdrowia, a on jej dokuczał, manipulował nią, a mnie nienawidził.

– Ponieważ byłaś pyskata?

– Możliwe. Pamiętam, że mój rodzony ojciec wpajał mi, że świat stoi przede mną otworem, ale ojczym ciągle dawał mi do zrozumienia, że jestem tylko dziewczynką. Nawet szkoda było pieniędzy na moją edukację. Nie było tutaj szkoły, więc musiałam uczyć się korespondencyjnie, ale on nawet w tym mi przeszkadzał. Uwielbiał pokazywać, kto tu rządzi.

Joss pomyślał o następnym, dosyć oczywistym i przerażającym etapie. Uznał, że zaryzykuje. Z jego doświadczenia w szpitalu wynikało, że takie przeżycia lepiej z siebie wyrzucić. Zadał to pytanie.

– Molestował cię?

Otrząsnęła się. Taka bezpośredniość mogła być szokująca, ale samo pytanie nie było niedorzeczne.

– Nie. Bił. – Wzruszyła ramionami. – Twoje pytanie nie jest takie głupie. Wiem, że miał na to ochotę. Pamiętam, jak na mnie patrzył. To była jedyna rzecz, której moja matka potrafiła się przeciwstawić. Gdyby mnie dotknął w taki sposób, bez wahania wezwałaby policję. Ostrzegła go. Więc nienawidził mnie na odległość. Boże, jak on mnie nienawidził.

– Uciekłaś?

– Jak tylko skończyłam piętnaście lat. Wylądowałam w schronisku w Sydney. Poznałam tam wspaniałych ludzi. Skończyłam szkołę. Młodociani bezdomni, jeśli chcą, mają szansę wyjść na ludzi. Mnie się udało. Marzyła mi się medycyna, ale cóż, zostałam pielęgniarką. Matka... Nie wolno jej było kontaktować się ze mną. Była coraz bardziej chora. Tutaj nikt nie mógł jej pomóc. Tak więc mój ojczym zmarnował życie mojej matce i wielu innym mieszkańcom Iluki.

Byłam bezradna. Pozwolił mi wrócić pod warunkiem, że zrezygnuję z pielęgniarstwa i zostanę tu na zawsze.

– Potwór.

– Tak. Może powinnam była przyjechać tu wcześniej, ale nie wiedziałam, jak bardzo matka jest chora. Gdy umarła, byłam wściekła. Pocieszałam się, że już nigdy nie będę miała nic wspólnego z ojczymem. On jednak nie mógł przeboleć, że jestem niezależna. Stąd ten testament.

– Zostawił ci wszystko, co miał. – Joss ściągnął brwi.

– Może w końcu pożałował, że był dla ciebie taki niedobry?

– Na pewno nie. Chciał się zemścić. Wiedział, że wrócę, że znając cierpienia matki oraz jej przyjaciół, nie odrzucę szansy założenia domu opieki. Lecz on, a po nim jego siostrzeńcy, zrobili wszystko, żebym nie miała ani centa więcej niż to, co przewiduje testament.

– Nic więcej ci nie zapisał?

– Zapisał, ale ledwie to wystarcza na pokrycie kosztów związanych z eksploatacją domu starców. Teraz otrzymujemy rządowe dotacje i nasza sytuacja jest nieco lepsza. Przysługuje mi wyłącznie wynagrodzenie pielęgniarki. Jego siostrzeńcy zabrali meble, wszystko, co nie było przykręcone śrubami. Robią, co mogą, żeby uprzykrzyć mi życie, i żebym w końcu się stąd wyprowadziła. Jeśli poddam się przed upływem dziesięciu lat, wszystko przechodzi na nich.

– Ile już lat masz za sobą?

– Cztery.

– Zostało ci jeszcze sześć...

– Sześć lat czyśćca – rzuciła niby od niechcienia.

– Da ci to jakieś korzyści?

Westchnęła, po czym uśmiechnęła się kwaśno.

– Za sześć lat będę obrzydliwie bogata.
– I dlatego to robisz? – Wiedział, że tak nie jest.
– Nie. Gdybym mogła, wyjechałabym stąd natychmiast, ale warunki, na jakich ojczym sprzedawał działki, są tak niehumanitarne, że nie mam serca zostawić tych emerytów na pastwę losu. Tak jak twoja macocha sprowadzili się tu pełni nadziei, ale wkrótce się zorientowali, że ich pieniądze przepadły. Są w beznadziejnej sytuacji. Mogą tylko liczyć na ten dom starców.

– Nie rozumiem.

– Porozmawiaj z prawnikami. To jest miejscowość bez przyszłości. Gdybym stąd wyjechała, musiałabym zabrać kilkuset staruszków, którzy wszystko by stracili.

– Aż tak źle to wygląda?

– Tak.

Joss rozważał w myślach następne pytanie.

– Czy ktoś ci pomaga?

– Oczywiście. Malcolm. – Joss uniósł brwi. – Mój narzeczony.

Narzeczony. Należało się tego spodziewać. Dopiero teraz dostrzegł na jej palcu pierścionek z brylantem. Ewidentny znak, że nie jest wolna. To normalne. Zupełnie niepotrzebnie poczuł dziwny skurcz żołądka.

– Muszę już iść – powiedziała po raz kolejny.

– Na pewno?

– Tak. Zadzwoń, jeśli będziesz mi potrzebny.

– Przyjechałaś tu tylko po to, żeby pokazać mi pokój?

– A z jakiego innego powodu miałabym tu siedzieć w ciągu dnia?

– Myślałem, że jesteś już po dyżurze.

– Owszem, ale mam jeszcze obowiązki administracyjne. Poza tym bardzo chciałabym porozmawiać z naszą młodą matką.

- Zadzwonisz po mnie, jeśli coś cię zaniepokoi?
- Jeśli coś mnie zaniepokoi, przyjadę tu po ciebie.
- Tą przerdzewiałą puszką?
- Tą przerdzewiałą puszką.
- Zostanę tu odcięty od świata.
- Wolisz, żebym zawiozła cię do ojca?
- Nie!
- Więzień z własnej woli. – Uśmiechnęła się. – Takich lubię najbardziej.

Rzeczywiście czuł się jak w pułapce.

Obszedł cały dom. Zorientował się, w którym pokoju nocuje Amy. Było tam łóżko i odrapana toaletka. Potem odkrył sypialnię, która została mu przydzielona: gołe ściany i łóżko ze starannie złożoną świeżą pościelą w nogach. To znaczy, że Amy miewa gości. Albo gościa.

– Gdzie jest ten Malcolm? – zapytał na głos.

Ku swojemu zdziwieniu stwierdził, że jest zły.

Wszędzie towarzyszył mu Bertram, więc należało uprzedzić go, że warunki noclegu nie są dla niego zbyt korzystne.

– To jest pojedyncze łóżko – pouczył psa. – Moje. Moje własne. Nie zamierzam go z tobą dzielić!

Seter rzucił mu tak żalosne spojrzenie, że zrobiło mu się przykro. Prawdę mówiąc, nie miał nic przeciwko obecności Bertrama w łóżku. Spać samotnie? Denny pomysł.

– Czy potrafisz mi powiedzieć, po co jej taki narzeczony? – zwrócił się do psa, który przechylił łeb, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią. – Widzę, że i ty nic nie rozumiesz. Jeśli on jest taki świetny, to dlaczego nie załatwi jej jakichś mebli? Na jego miejscu...

Daj spokój. Nie tędy droga.

Czym by się tu zająć? Odosobnienie ma swoje dobre strony, ale... Przydałoby mu się parę rzeczy. Golarka. Czysta koszula. Torba była w bagażniku, a bagażnik wbił się w kierownicę. Wszystko przepadło. Laptop leżał pod siedzeniem pasażera. Może ocalał? Oby!

Można by zadzwonić do Jeffa Packera, tego policjanta, i dowiedzieć się, czy cokolwiek dało się uratować. Wolałby wrócić do szpitala, by mieć na oku pacjentkę z urazem głowy. W takich sytuacjach lekarz powinien być przy chorym.

Jest tylko jedno wyjście. Z głębokim westchnieniem sięgnął po komórkę i zadzwonił do ojca.

– Opowiedzcie mi o Amy Freye. – Joss, Daisy i ojciec siedzieli przy stole w kuchni Amy. Wypytywali go o okoliczności wypadku. Jednocześnie ciekawie rozglądali się dokoła. Znaleźli się tu po raz pierwszy i przeżyli spory szok. – Daisy, nie chcę więcej herbaty. Domagam się plotek.

Zamiast nich usłyszał pean na temat Amy.

– Jest cudowna – oznajmiła macocha. – W pojedynkę uratowała to miasteczko.

– Jak mam to rozumieć?

Tu nastąpił długi wywód, dokładnie tej samej treści co relacja Amy, przerywany deklaracjami wdzięczności.

– Jej podły ojczym oskubał nas ze wszystkiego. – W oczach starszej pani zaśniły łzy. – Sprowadziliśmy się tu z moim świętej pamięci małżonkiem, bo byliśmy naiwni. Jak tylko zapłaciliśmy za działkę, zaczęły się problemy. Na początku było jak w raj, ale gdy John zachorował, zaczął się koszmar. Nie było tu nawet apteki. Bez przerwy kursowałam między Bowrą a Iluką.

Gdy już nie mogłam sobie poradzić, Johna przyjęto do domu opieki w Bowrze. Chciałam wszystko sprzedać, ale potencjalni kupcy zdążyli się zorientować, że Iluka to miejsce bez perspektyw. Tu jest jeden sklep i poczta. W sezonie milionerzy mają własne zaopatrzenie, ale zwyczajni emeryci nie mogą sobie na to pozwolić. Bogaci lubią odciąć się na chwilę od świata. Dla nas to katastrofa. Zostałam tutaj. Nikt nie chciał naszego domu nawet za pół ceny. W końcu John umarł. Na szczęście w tym samym czasie umarł ojczym Amy. Potem ona tu przyjechała i wszystko się zmieniło.

– Pod jakim względem?

– Pod każdym. Wybudowała dom opieki, zorganizowała „posiłki na kółkach”, dzięki czemu staruszkowie, którzy nie ruszają się z domu, nareszcie jedzą jak należy. Zmobilizowała nas, żebyśmy po kolei robili zakupy dla innych. Dzięki temu już nie jeździmy do Bowry tak często jak dawniej. Skompletowała bogaty zestaw leków, więc mamy na miejscu coś w rodzaju apteki. Połowa mieszkańców Iluki zawdzięcza Amy to, że nadal mieszka w swoich domach.

– Gdyby nie ona, nie przeniósłbym się do Iluki.

– Teraz ojciec przejął pałeczkę. – Poznałem Daisy, kiedy przyjechałem tu na zawody kręglarskie. Wydawało mi się, że jestem w rajku, ale potem Daisy opowiedziała mi o swoich problemach. Nadal nie możemy sprzedać domu, ale przez sześć najbliższych lat, dopóki Amy tu jest, możemy czuć się bezpiecznie.

– Dopóki ona tu jest – powtórzył Joss.

– Nawet dłużej. Dom opieki zostanie tu na zawsze.

– To bardzo ryzykowne założenie.

– Ona ma dobre serce. Zostanie tutaj – oświadczyła bez wahania Daisy. – Nie wyjedzie z Iluki.

- Poza tym jest zaręczona z człowiekiem stąd.
- Malcolm jest księgowym w Bowrze, a jego ojciec jest prawnikiem. Malcolm poznał Amy, gdy jego ojciec zajmował się jej sprawami spadkowymi.
- Mam wrażenie, że nie za dobrze się nią opiekuje.
- No cóż, nie są małżeństwem.
- Gdybym ja miał taką narzeczoną...
- Jasne, chłopcze, ale nie masz – wytknęła mu Daisy. – Malcom nie może się tu przeprowadzić, bo pracuje w Bowrze, a w porze deszczowej droga jest pod wodą i nie można się stąd wydostać. Rzadko wprawdzie jesteśmy aż tak skutecznie odcięci od świata jak teraz.
- Miał jeszcze wiele innych pytań, ale na razie postanowił ruszyć do akcji.
- Macie dwa auta, prawda? – Przytaknęli, wymieniając spojrzenia. – Zapewniam was, że nie zamierzam kaskaderskim skokiem pokonać rzeki. Wiem, że muszę to przeczekać.
- Możesz u nas mieszkać, jak długo zechcesz – zapewniła go Daisy, a ojciec się rozpromienił.
- Dobrze mi tutaj.
- Ale tu jest nieprzytulnie – zauważyła Daisy.
- No właśnie. O tym też chciałem z wami porozmawiać. Rozejrzyjcie się.
- Nie wiedzieliśmy, że ona tak mieszka. Myśleliśmy, że tak się ubiera i jeździ takim gruchotem, bo ma taki ekscentryczny kaprys.
- Ona nie ma pieniędzy.
- Niemożliwe – zaprotestował ze zdumieniem ojciec. – Jak ktoś ma taki dom...
- Zważcie, ile musi kosztować jego utrzymanie. Nie stać ją nawet na ogrzewanie. Jest bez grosza.
- Powiedziała ci to?

- Tak.
- Dopiero co ją poznałeś.
- Moja powierzchowność prowokuje ludzi do zwieżeń.

Daisy rzuciła mu podejrzliwe spojrzenie.

- Naprawdę nic nie ma?
- Całą resztę, oprócz tego pałacu oraz domu starców, jej ojczym zapisał swoim siostrzeńcom.

Otworzyli szeroko usta. Daisy ochłonęła pierwsza.

- Na pewno znajdziemy jakieś meble, które możemy jej oddać – oznajmiła. – Podejrzewam, że połowa mieszkańców Iluki też coś dla niej znajdzie. Gdybyśmy wcześniej o tym wiedzieli... Pomogliśmy jej. Wszyscy bardzo ją szanujemy.

- To się nie uda – uznał Joss po chwili namysłu.
- Sprzeda wszystko. Potrzebuje gotówki, bo siostrzeńcy ojczyma ciągną od niej, ile się da. Gdybyście jej to wypożyczyli...

– Jak to?

– Na przykład na sześć lat. Myślicie, że to możliwe?

– Oczywiście.

– Zaraz się za to zabierzemy – oświadczył ojciec.

- To dla nas wielka przyjemność. Znam starostę. Na pewno da się coś zrobić. Skarbiec gminy jest pełny, bo tu nawet nie trzeba naprawiać sygnalizacji świetlnej. Prawdę mówiąc, nie ma na co wydawać tych funduszy. A ty, synu? Chyba nie masz ochoty tu zostać? – Rozejrzał się z niechęcią po pustych ścianach.

Joss zawahał się.

- Jeśli nie sprawi wam to wielkiej przykrości, chętnie bym tu został. Ale przydałby mi się samochód.

- Nie ma sprawy. – Ojciec popatrzył na niego pytająco. – Dlaczego?

– Chciałem stąd wyjechać – zaczął Joss – żeby przygotować się do tej konferencji. To się nie zmieniło.

– Poza tym powinieneś tu być, jak przyjadą nasze meble – dodała Daisy praktycznym tonem. Była bardziej domyślna, niż się wydawało. – Davidzie, nie namawiaj go. Twój syn woli towarzystwo młodej Amy.

– Amy jest zaręczona. – Ojciec był wyraźnie zdziwiony.

– Oczywiście – burknęła jego małżonka.

– Nie lubisz Malcolma – domyślił się Joss.

– Uprzedziłaś się – zaczął ojciec. – Nie znasz go.

– Ale wiem, że jest nijaki.

– To dobry chłopak.

– On świata nie zawojuje – upierała się. – Jest księgowym. Sądzę, że jak miał pięć lat, to już było wiadomo, kim zostanie.

– Jesteś bardzo surowa. Amy na pewno go lubi – zaryzykował Joss.

Daisy aż prychnęła.

– Na pewno. Jak gdyby miała jakiś wybór! To bardzo przystojny młody człowiek, a takich tutaj nie ma. Amy Freye to zamożna partia, o czym ten buchalter wie najlepiej.

– To jeszcze sześć lat.

– Zrezygnowałbyś z żyły złota, mając świadomość, że za sześć lat będziesz czerpał z niej ogromne zyski?

– Chyba nie.

– No widzisz. – Daisy triumfowała. – Malcolm jest nijakim łowcą posagu. Koniec i kropka.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Charlotte spała, gdy Joss wszedł do jej pokoju. Amy w białym fartuchu krzątała się przy jej łóżku. Jaka ona śliczna, pomyślał. Szkoda, że tak skromnie się ubiera. Może Daisy zajęłaby się również jej garderobą?

W tej samej chwili Amy uśmiechnęła się lekko. Nie warto. I tak jest piękna.

– Śpi jak kamień – zaniepokoiła się.

– Powinna dostać kolejną dawkę środka przeciwbólowego. – Zrobił wpis do karty. – Mam nadzieję, że coś się znajdzie.

– Ponieważ jesteśmy na końcu świata, dostałam pozwolenie na prowadzenie apteki. Mam wszystko, co potrzeba.

– To jest nadzwyczajny dom starców – rzekł z uznaniem.

– Owszem. – Nie siliła się na fałszywą skromność.

– Ale czy nie zostawiłam cię zamkniętego w wieży?

– Uratowali mnie ojciec i Daisy. Aktualnie poruszam się jej różowym volkswagenem.

– Czuję, że ku radości twojego taty. Mimo że kocha Daisy, krzywił się, gdy kazała go polakierować na różowo.

– Bertram się obraził. Postanowił zostać w domu.

– Mądre psisko.

– A ja pomyślałem, że mogę się tu przydać.

– Niestraszny był ci różowy garbus! To odważna decyzja.

Śmiała się z niego, a on nie miał nic przeciwko temu. Nawet bardzo mu się to podobało.

– Widzę, że wszystko jest w porządku. Mała śpi?

– Jest w świetlicy pod czujnym okiem starsuszków. Pielęgniarki uznały, że skoro matka śpi, oni mogą czuwać przy dziecku.

– Mamy w ten sposób dwadzieścia nianieek?

– Co najmniej. Nie wiem, czy Charlotte uda się odzyskać dziecko.

– Ciekawe, jak się tu znalazła.

– Też bym chciała wiedzieć. – Amy zerknęła na śpiącą. – Jest wyczerpana.

– Chyba nie jest stąd.

– Widzieli ją wszyscy moi pensjonariusze, ale nikt jej nie rozpoznał.

– Takie ciężarówki są na farmach – stwierdził Joss.

– Wygląda, jakby była z farmy. Ma zniszczone ręce.

Popatrzył na spracowane dłonie obu kobiet.

– Dowiemy się wszystkiego, jak się obudzi.

– Nie jestem pewna. – Amy wpatrywała się w twarz dziewczyny. – Przebudziła się na chwilę. Sprawiała wrażenie przestraszonej.

– Tutaj nie ma się czego bać.

– Co najwyżej zagłaskania na śmierć. Urodzić w takim miejscu! My tu sobie gawędzimy, a tam już powstaje co najmniej pięć par szydełkowych bucików i kilka sweterków.

– Koszmar.

Z pokoju Charlotte przeszli do gabinetu Amy. Stan kobiety i jej dziecka nie budził niepokoju, więc Joss

poczuł się zbędny. Nie miał jednak ochoty wracać do rezydencji Amy.

– Skoro już tu jesteś, mógłbyś osłuchać panią Coutts. Mam wrażenie, że to początek zapalenia płuc. Upadła w zeszłym tygodniu, a potem kilka dni przeleżała w łóżku. Teraz już chodzi, ale pokastuje i jest słaba...

– Nie ma sprawy. – Płuca. Niech będzie.

Wyczuła jego wahanie.

– Nie czujesz się na siłach?

– Oczywiście, że czuję się na siłach – obruszył się.

– Jesteś chirurgiem, więc pomyślałam, że może...

– Że już zapomniałem?

– Przepraszam. Poczułeś się dotknięty. – Uśmiechnęła się skruszona.

– Wcale nie. Chodźmy do tej damy.

– Mam do dyspozycji prawdziwego lekarza. Jak dobrze pójdzie, to na cały tydzień. Jeśli czegoś nie uda mi się przez ten czas załatwić...

Kitty patrzyła na Amy jak na obłąkaną, ponieważ jej przełożona tanecznym krokiem podeszła do regału z danymi pensjonariuszy.

– Co ci się stało? – zapytała.

Amy nie odpowiedziała.

– Wrośnięte paznokcie pana Harrisa, egzema pani Crane, prostata pana Hamiltona – wyliczała. – Zaraz się tym zajmujemy. – Największym problemem była owa prostata, ponieważ Martin Hamilton kategorycznie odmówił opowiadania o niej lekarce z Bowry, a zbadanie przez nią kłopotliwego gruczołu w ogóle nie wchodziło w grę. – Mając pod ręką lekarza, za jednym zamachem załatwimy wszystkie problemy – podśpiewywała.

– On tu przyjechał na urlop – jęknęła Kitty. – Myślisz, że się zgodzi?

– Zatrzymał się u mnie. – Ochłonęła nieco, przypomniawszy sobie swoje zażenowanie, gdy wpuszczając go w swe ubogie progi. Ma to jednak i dobrą stronę: facet stał się jej dłużnikiem. – Kitty, on jest próżny. Wystarczy, że zasugeruję, że czegoś nie potrafi, a natychmiast to zrobi. Jest cenionym chirurgiem i chodzącym męskim ego, więc nie widzę powodu, dla którego nie miałybyśmy skorzystać z okazji.

– Wygląda bardzo sympatycznie. – Kitty nadal miała wątpliwości.

– Ale to facet, więc należy zapędzić go do roboty. I będę to robić, jak długo będzie to możliwe.

Wszystko wskazywało na zapalenie płuc. Gdy Joss odłożył słuchawki, starszka zalała się łzami.

– Nie pójdę do szpitala – chlipała. – Po co dałam się panu zbadać? Nie ruszę się stąd.

– Los pani sprzyja – zauważyła kwaśno Amy, przyśiadając na łóżku chorej. – Nie pamięta pani, co stało się z mostem?

Kobieta przytaknęła, po czym zapłakała jeszcze głośniej.

– Umrę. Jeśli nie pojedę do szpitala...

– Jest jeszcze trzecie wyjście. – Odwróciła jej twarz w stronę Jossa. – Niech pani popatrzy na tego pana. To prawdziwy lekarz. Mamy też wielką szafę leków. Będzie pani miała swojego nadwornego medyka. – Kobieta pociągnęła nosem, po czym popatrzyła na Jossa. – Doktor nie ma jak się stąd wydostać. Podobnie jak my.

Pomarszczona twarz rozpromieniła się.

– Naprawdę?

– Doktorze, czy zaopiekuje się pan tą pacjentką?
– zapytała Amy oficjalnym tonem.

– Oczywiście.

Potem obejrzał jeszcze wrastające paznokcie, egzemę i gruczoł krokowy. A na dokładkę drzazgę pod paznokciem Kitty.

– Wybierałam się do naszej lekarki – tłumaczyła się dziewczyna, czerwieniąc się, gdy badał opuchnięty palec. – Ale skoro Amy uznała, że musimy pana wykorzystać...

Przeniósł na nią spojrzenie. Oczy jej się śmiały jak psotnemu dziecku. Czarująca, pomyślał. Po prostu czarująca. Im dłużej przebywał w jej obecności, tym bardziej go fascynowała. Wykorzystywała go na całego. Lecz gdy wyjął drzazgę z palca Kitty, uznała, że może go oddalić. Miał za sobą męczący dzień, a ona już obmyśliła plan na dzień następny.

– Na dzisiaj wystarczy – oznajmiła. – Bardzo się nam przydałeś.

– Dzięki.

– Nie ma za co. – Zerknęła na zegarek. – Lodówka w domu jest prawie pusta. Jeśli nie chcesz jechać do ojca, musisz udać się do sklepu. Masz jeszcze pół godziny.

Kapitalnie.

– A ty?

– Zjem tutaj. – W domu opieki nie musiała płacić za posiłki, ale nie chciała się do tego przyznać.

– Musisz zostać? – zapytał. Poznał już jej zastępczynię, Mary, osobę energiczną i z dużym doświadczeniem. Była wprawdzie trochę nadąsana, że ominęło ją niezwykle wydarzenie, ale z zadowoleniem podjęła się czuwania przy młodej matce i noworodku.

– Muszę wypisać parę dokumentów – wyjaśniła Amy.

– Nie musisz – rzuciła Kitty beztróskim tonem, gdy Joss kończył opatrywać jej palec. – Doktorze, ona za dużo pracuje. Niech jej pan każe jechać do domu.

– Pojadę do sklepu i przygotuję coś dla nas dwojga.

– Ty?

– Ja. – Znowu dał się sprowokować. – Umiem gotować. Poza tym powinienem odwdziaczyć się za lokum.

– Uważam, że już się zrewanżowałaś. Odebrałaś przecież cesarski poród oraz przyjąłeś czterech innych pacjentów.

Oraz jedną sekretarkę, która pozbywszy się drzazgi, wzięła na siebie rolę swatki.

– Dokładam do tego wino. Mama mi je dała, ponieważ jej nie smakuje, a ja nie mam w planach żadnej uroczystej okazji.

– Kitty, uważaj...

– Bardziej uroczystej niż powitanie nowego lekarza w Iluce – wyjaśniła Kitty niewinnym tonem.

– Wyjeżdżam stąd, jak tylko przestanę padać.

– Oby padało jak najdłużej. – Kitty wyszczerzyła zęby.

– Zatrzymaj sobie to wino, żeby nie myśleć o palcu – poradziła jej Amy.

– Nie warto. Już o nim zapomniałam.

– Znieczulenie przestanie działać – ostrzegł ją Joss.

– Idźcie już. Oboje. Życzę udanego wieczoru. – Wypchnęła Amy za drzwi. Gdy się zamknęły, zacisnęła oba kciuki.

Amy nie od razu pojechała do domu.

– Nie jadę różowym garbusem – oświadczyła. – Poza tym chcę mieć swoje auto w domu. Nie zostawię go tutaj.

Chciała być niezależna. Nie ma mowy, by Joss w razie konieczności odwoził ją do jej podopiecznych. Wysłała go więc do domu, a sama jeszcze raz obeszła swoje królestwo. Na koniec zajrzała do młodej matki, która już się budziła. Gestem poprosiła Mary i Marie, by na chwilę zostawiły je same. Może Charlotte coś powie?

– Lepiej się czujesz?

Kobieta uśmiechnęła się blado. Jej dziecko leżało tuż obok w prowizorycznym łóżeczku z szuflady ustawionej na stoliku od telewizora. Spało jak aniołek.

– Trochę.

Amy bliżej przysunęła się z krzesłem.

– Masz prawo powiedzieć, że czujesz się okropnie, jeśli tak jest naprawdę.

– Czuję się fatalnie.

– Doktor Braden zalecił środki przeciwbólowe. Podać coś?

– Jeszcze nie. I bez nich nie bardzo do mnie dociera, co się stało.

– Chcesz kogoś zawiadomić, gdzie jesteś? – zapytała Amy. – Może ktoś się o ciebie martwi.

– Nie.

– Jesteś sama?

– Tak.

Amy zawahała się. Na twarzy kobiety dostrzegła oznaki strasznego zmęczenia. I zafrasowania.

– Czy możesz mi powiedzieć, co robiłaś w Iluce?

– Szukałam kogoś.

– Znalazłaś go?

– To jest kobieta. – Charlotte zamknęła oczy. – Tak.

- To znaczy, że kogoś tutaj znasz.
- Nikogo, kto chciałby znać mnie.
- Jak mogę ci pomóc? – Wzięła ją za rękę. Nikt nie powinien być taki samotny. Zwłaszcza człowiek tak zbolaty. – Powiedz mi, co się stało.
- Nie. – Dziewczyna cofnęła dłoń.
- Niech i tak będzie. Ale pamiętaj, że tu jestem.
- Jak długo będę tu uwięziona?
- Rzeka zabrała most. Myślę, że co najmniej przez tydzień będziemy odcięci od świata. Ale ty i tak powinnaś leżeć przez ten czas. Musisz nabrać sił.
- Dziewczyna z rozpaczą popatrzyła na dziecko.
- Śliczna, prawda?
- Prześliczna. Czy masz już dla niej imię?
- Muszę porozmawiać...
- Z jej ojcem?
- Charlotte przygryzła wargę.
- Nie. Nie muszę z nim rozmawiać. – Popatrzyła na noworodka. – Ilona? Po węgiersku to znaczy „piękna”
- wyjaśniła, widząc zdziwienie Amy.
- Bardzo ładne. – Poglądziła palcem pomarszczoną twarzyczkę. – Ilona. Pasuje do niej.
- Przyszła na świat w Iluce. Iluka, Ilona.
- Jeszcze bardziej mi się podoba.
- Dziewczyna uśmiechnęła się. Po raz pierwszy.
- Naprawdę pani tak myśli?
- Naprawdę. – Amy wstała. – Pośpij jeszcze. Przyniosę ci telefon. Na pewno nie chcesz do nikogo zadzwonić?
- Nie.
- Podłączę go. Na wszelki wypadek. Może zdecydujesz się komuś opowiedzieć o Ilonie.
- Wychodząc z pokoju, natknęła się na Jossa. Stał

oparty o ścianę, ze splecionymi ramionami, jak człowiek przygotowany na długie oczekiwanie. Jak mąż, który czeka na żonę pod przymierzalnią, pomyślała nieoczekiwanie. Miał minę pana i władcy. Głupie porównanie.

– Wydawało mi się, że odesłałam cię do domu.

– Nie zawsze robię, co mi każą – odparł z uśmiechem. Teraz przyszło jej do głowy, że przypomina młodego psa, który właśnie zaaportował właścicielowi gazetę sąsiadów. Na jego twarzy malowała się radość zmieszana z poczuciem winy.

– To znaczy, że nie mamy nic do jedzenia – stwierdziła karcącym tonem. – Sklep zamknęli o szóstej.

– Byłem w sklepie – obruszył się. – Mam cały bagażnik prowiantu. Nie jestem głupi. Na dodatek jestem głodny. – Przestał się uśmiechać i spojrzał na drzwi pokoju Charlotte. – Masz jakieś nowe wieści?

– Milczy jak grób.

– Nazywa się Charlotte Brooke. Policjant zdobył tę informację na podstawie tablic rejestracyjnych jej samochodu. Charlotte mieszka jeszcze za Bowrą.

– Spory kawałek stąd.

– Sierżant pytał, czy ma dowiadywać się o jej adres. Na wypadek, gdyby ktoś jej rozpaczliwie poszukiwał.

– Ona nie chce z nikim rozmawiać.

– A jeśli ktoś zawiadomi policję o jej zaginięciu?

– Wtedy się zastanowimy. – Ściągnęła brwi. – A ty co o tym myślisz? Uszanujemy jej potrzebę prywatności?

– Dajmy jej parę dni, żeby doszła do siebie. Może bardzo tego potrzebuje. Nie zdradza objawów depresji?

– Nie. Coraz mocniej kocha swoje maleństwo. Nie wygląda, żeby chciała je porzucić. Dała jej na imię Ilona.

– Ilona – powtórzył. – Podoba mi się.

– Mnie też. – Rozpromieniła się, a on poczuł, że tak właśnie powinno być. Coś ich połączyło.

Cieszyło ją, że wrócił, że przejął się stanem dziewczyny. To dobrze o nim świadczy. Kobieto, co ci się roi? On wyjedzie, jak tylko deszcz ustanie. Nie potrzebujesz niczyjej przyjaźni. Może zresztą i potrzebujesz, ale wiesz, jak boli, gdy trzeba o niej zapomnieć. Jak wtedy, kiedy rozstawiałaś się z przyjaciółmi, których znalazłaś z dala od Iluki.

– Wracasz już do domu? – zapytał, przywołując ją do rzeczywistości. Miała bardzo nierealne uczucie, że wabi ją jakaś dziwna słodycz.

– Nie zamierzam wsiadać do twojego różowego garbusa.

– Daisy będzie przykro.

– Nie dowie się o tym.

– Wolisz swój wrak od takiego eleganckiego pojazdu?

– Pewne decyzje przychodzą mi całkiem łatwo. – Odwróciła się i ruszyła w stronę parkingu. Za to inne są wyjątkowo trudne, pomyślała.

Przez całą drogę czuła, że Joss za nią jedzie.

Po co go zapraszała? Mógł z powodzeniem wrócić do ojca. Tak byłoby znacznie prościej. Ale wówczas nie czułby się zobowiązany zająć się jej podopiecznymi.

Na pewno by to zrobił z własnej nieprzymuszonej woli. Nikt go przecież nie prosił, by wyjął drzazgę z zainfekowanego palca recepcjonistki. To jest bardzo sympatyczny facet. Nawet więcej niż sympatyczny. A na dodatek przystojny!

Przeستاń! Jesteś zaręczona. Malcolm mieszka wpra-

wdzie w Bowrze i rzadko się widujecie, ale to nie zmienia faktu, że jest twoim narzeczonym. I coś was wiąże.

Czuła się związana z Malcolmem. Z Iluką. Czasami czuła się tak związana, że miała ochotę krzyczeć.

Wjechali do garażu. Ich niezwykle pojazdy bardzo dziwnie prezentowały się w olbrzymim pomieszczeniu. Powinny tam stać mercedesy, a nie różowy volkswagen i obdrapany gruchot. Mimo to przyjemnie jest popatrzeć na dwa auta.

Zorientowała się, że cieszy ją perspektywa wieczoru, który spędzi z Jossem i jego psem. Może powinna sprawić sobie psa? A za co kupi mu karmę? Jeszcze tylko sześć lat.

– Obyś się w piekle smażył – mruknęła setny raz pod adresem ojczyma. – Nie złamiesz mnie. Nie ty będziesz górą.

Joss wyjmował torby z zakupami. Nie warto zaprztać sobie głowy złośliwym staruchem, skoro pod bokiem jest taki facet!

– Pomóc ci? – zapytała. Jedzenie. Prawdziwe jedzenie. Precz z zupą z torebki i grzanką!

Nie posiadał się z radości. Tak ogromnej przyjemności nie odczuwał, zapraszając kobiety do luksusowych restauracji.

– Sam wszystko zaniosę. Wolę nie ryzykować, że zniknie, zanim dotrze do kuchni. – Nie skorzystał z jej oferty w obawie, że wszystko wylądaje na podłodze, gdy Amy zobaczy swoje mieszkanie.

Otworzyła drzwi i stanęła jak wryta. Daisy ma talent organizacyjny, pomyślał z uznaniem, rozglądając się po zupełnie innej kuchni. Wcześniej mieszkanie było prawie puste. Teraz sprawiało wrażenie wręcz zagraconego.

Amy dała mu klucz, który on przekazał macosze, po czym pojechał do szpitala. Wyglądało na to, że pod jego nieobecność mieszkanie Amy odwiedziło całe miasteczko. Z meblami. Ujrzeni stół z dwunastoma krzesłami, rozłożystą kanapę, pięć miękkich foteli, kolorowy telewizor, wieżę z odtwarzaczem stereo, okazałe dębowe biurko i kilka stojących lamp. Na podłodze pysznił się perski dywan. Pokój nareszcie wyglądał tak, jak powinien. Meble były wprawdzie staroświeckie i nie należały do kompletu, ale były wygodne i dobrej jakości. Daisy stanęła na wysokości zadania.

– Co to znaczy?

– Ciekawe, co wstawili do sypialni – rzucił beztróskim tonem, wychodząc do korytarza. Zajrzał do pokoju Amy oraz do sypialni, którą sam miał zająć. I tu, i tam stały nowe łóżka. Z elegancką pościelą! Do tego fotele, toaletki, stoliki nocne, szafy.

Obok jego łóżka znalazł się nawet kosz z materacem dla psa. Bertram już w nim się ułożył i z zadowoleniem spoglądał na swojego pana. Wstał i pomachał ogonem. Widać było, że jest bardzo zaspany, ponieważ wyczerpało go nadzorowanie akcji zakrojonej na tak szeroką skalę.

– Niesamowite. – Poglądził psa. – Oni są fantastyczni.

Amy nie mogła otrząsnąć się z wrażenia.

– Mhm. Kto jest taki fantastyczny?

– Mieszkańcy Iluki. Opowiedziałem ojcu i Daisy, jak mieszkasz...

– Jak mogłeś?! To moja prywatna sprawa.

– Poświęcasz cały swój czas temu miasteczku. Pora, żeby miasteczko zatroszczyło się o ciebie.

– Nie mogę zatrzymać tych mebli.

- Możesz.
- Trevor, Raymond i Lysle... – Była bliska łez. Przyłożyła dłonie do rozpalonych policzków.
- Kto to jest?
- Siostrzeńcy ojczyma. Nie mogę przyjąć tych mebli. Nie zatrzymam ich.
- Dlaczego?
- Ojczym nic mi nie zostawił. Czy wiesz, ile wynosi podatek od tej rezydencji?
- Domyślałam się. – Wiedział to dzięki ojcu. Od południa kable telefoniczne w miasteczku były rozpalone do czerwoności.
- Do tego dochodzi podatek od gruntu pod domem opieki. Plus jego utrzymanie. Siostrzeńcy ojczyma zabrali stąd wszystko, co nie jest moją własnością. A to, co się nią stanie, muszę sprzedawać, żeby bank siedział cicho.
- Jaki to ma związek z tymi meblami?
- Nie mogę ich przyjąć. Nawet gdybym nie musiała ich sprzedawać...
- To nie są dary. – Objął ją i poprowadził do kuchni, gdzie Bertram natychmiast zajął stanowisko na chodniczku przed piecem. Jak tu ciepło, pomyślała nagle.
- Wszyscy mieszkańcy Iluki są napływowi. Emerycy pobudowali tu domy znacznie mniejsze od tych, w których mieszkali kiedyś. Daisy twierdzi, że wszyscy mają jakieś sprzęty, z którymi nie potrafią się rozstać, a które nie mieszczą się w nowym domu. Więc wszystko, co tu jest, zostało ci wypożyczone. – Próbowała protestować, ale ją uciszył. – Amy, stajesz na głowie dla tych ludzi. Pozwól im się odwdziaczyć.
- Jej nieprzypadkowe spojrzenie spoczęło na buzującym czajniku.

– Kiedy włączyłeś piec? I ogrzewanie? Nie stać mnie na taki luksus.

– Ogrzewanie to zapłata za nocleg, którego mi używasz. Zresztą jest to również w moim interesie. Muszę pracować, a nie lubię marznąć. Zadzwoiłem, gdzie trzeba, i podałem numer mojej karty kredytowej. Masz w ten sposób zagwarantowane ogrzewanie przez pół roku. Nie wydasz mojego komornego na takie bzdury jak podatek od nieruchomości. Właśnie... Ojciec już się skontaktował z Trotterem, waszym starostą. Radni zebrali się w trybie nadzwyczajnym. W twojej kuchni.

– Tutaj?!

– Byli przerażeni warunkami, w jakich żyjesz. Wszyscy jak jeden mąż postanowili ci pomóc. Jednocześnie anulowali podatek od nieruchomości za ten dom oraz dom opieki. Na sześć lat. Ich decyzje nie działają daleko wstecz, ale za ubiegły rok otrzymasz zwrot.

Pomimo oszołomienia czuła, jak wzbiera w niej złość.

– Joss, to nie twoja sprawa. Nie powinnam była w ogóle cię tu wpuszczać!

– Uznałbym to za niepowetowaną stratę. Amy, z przykrością muszę cię poinformować, że już nie będziesz męczennicą.

On się cieszy, pomyślała. Bardziej niż czarodziejka, która spełniła trzy życzenia.

– Nie możesz...

– Już to zrobiłem. – Podał jej czek. – Właścicielka sklepu prosiła, żebym ci to przekazał. Jest skarbniczką starostwa.

Amy szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w kwotę wypisaną na czeku.

– Obłąd – sapnęła. – Nie musiałeś płacić za ogrzewa-

nie. Dobrze wiesz, że nie wzięłabym od ciebie pieniędzy za pokój. Tak się nie robi.

– Przepadło.

Ciepło. Ogrzewanie. Meble. Pieniądze na zaspokojenie podstawowych potrzeb. I Joss. Oraz pies.

– Teraz kolacja – zaordynował, biorąc ją palcem pod brodę. – Bertram na pewno jest głodny. A ty?

W jej myślach panował taki chaos, że mogła odpowiedzieć tylko na najprostsze pytanie.

– Umieram z głodu – przyznała.

– Zatem bierzmy się do dzieła.

To był niezwykle posiłek. Joss kupił w sklepie sławny pieróg z wołowiną wyrobu pani Hobbs oraz różne smakowite dodatki. Amy od miesięcy, nie, od lat, tak się nie najadła. Przez cały czas Joss uważnie ją obserwował.

– Masz minę harcerza, który zdobył dyplom za wiązanie węzłów, a trafił na coś, czego nie potrafi rozplątać, czyli na mnie – zauważyła.

– Supeł, powiadasz? Może kawałek cytrynowej tarty bezowej? To prezent od właścicielki sklepu.

– Czy już cała Iluka uznała mnie za obiekt specjalnej troski? – zapytała ostrożnie.

– Nie odtrącaj ich. Tak będzie o wiele lepiej niż przez minione cztery lata. Dlaczego do tej pory nikt...

– Aż zjawił się Joss Braden.

– Którego rozpierała energia.

– Ego go rozpierało!

– Ono też bywa przydatne. Czy Malcolm ma ego? Twój narzeczony – uściślił, widząc jej zdziwienie.

– Wiem, o kim mówisz. Nie, Malcolm nie ma ego.

– I dlatego nie pospieszył z pomocą dziewczeczce, która znalazła się w opałach.

- Nie jestem w opałach.
- Powiedzmy, że byłaś. Uważam, że należy cenić rycerzy w lśniącej zbroi i z rozbuchanym ego. Potrafią coś załatwić.
- Bo terroryzują ludzi.
- Nikogo nie sterroryzowałem – powiedział cicho. To wyznanie nieco ją ostudziło. – Czeka na ciebie tarta cytrynowa. Chcesz sprawić przykrość tej zacnej kobiecie?
- Nie! – To oczywiste. Wcale nie miała na myśli właścicielki sklepu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Potem razem pozmywali naczynia. Na koniec Joss zasiadł przy stole z komputerem.

– Sierżantowi Packerowi udało się odzyskać mojego laptopa oraz teczkę. Reszta przepadła – oznajmił smutno. – To, co mam na sobie, to kreacje ojca. – Popatrzył na mistrzowskie rękodzieło Daisy na swej piersi. – Takie wymyślne swetry nie są w moim stylu.

– Bardzo wdzięczny. Czy nie jest to ulubione określenie prezenterów na pokazach mody? – dodała na widok jego groźnej miny. Błyskawicznie uchyliła się przed papierową kulą, która mknęła w jej kierunku. – Au!

– Sama się o to prosiłaś.

– Ale mnie się ten sweter bardzo podoba. – Uśmiechała się do niego tak czarująco, że miał ochotę... Doskonale wiedział, na co ma ochotę. Ta pani jest zaręczona, a ty jesteś gościem w jej domu!

– Dobrze, że chociaż tyle dało się uratować! – Westchnął, zastanawiając się jednocześnie, czy jego głos brzmi naturalnie. Co się z nim dzieje? Zachowuje się jak uczeń!

– Naprawdę musisz przygotować się do konferencji?

– Tak powiedziałem mojemu ojcu. Myślisz, że skłamałem?

– Kłamiesz tylko wtedy, gdy w żaden inny sposób nie możesz postawić na swoim.

Chciał popatrzeć na nią spode łba, ale mu nie wyszło. Ona jest nadzwyczajna. Ale on musi zachować powagę, skoncentrować się na czymś innym, by nie widzieć jej uśmiechu.

– Bertram, ona mnie oczernia – poskarżył się psu.
– Słyszałeś? Ja jej gotuję wystawną kolację, a ona rzuca na mnie oszczerstwa.

– To ciekawe. Kto upiekł pieróg z wołowiną?

– Pani Hobbs. – Spotulniał. – Ale ja go przywiozłem.
Z narażeniem życia.

– Z narażeniem życia? – Uniosła brwi.

– Musiałem przemieszczać się różowym garbusem.
Zanim zareagowała na jego słowa, zadzwonił dzwonek przy drzwiach.

– Kto to może być?

– Kanapa? Daisy ostrzegła mnie, że zanosi się na kilka sztuk.

– Jeszcze jedna? Co ja z nią zrobię?

Nie była to kanapa, lecz pudło z porcelaną.

Amy dobrze знаła Marigold Waveny, której małżonek, Lionel, z zapalem konstruował latawce. Nie było szczęśliwszej kobiety w Iluce, odkąd Lionel z latawcami wyprowadził się do domu opieki. Lionel też tego nie żałował. Amy czasem podejrzewała, że symulował demencję, by zdobyć większą powierzchnię dla latawców. Nadal stanowili udane stadło, może nawet lepsze niż gdy mieszkali pod jednym dachem. Marigold spędzała z nim całe dni, podziwiając jego wymyślne konstrukcje, a wieczorem wracała do domu, gdzie nareszcie panował idealny porządek.

– Przyjechałabym wcześniej – tłumaczyła się, przekazując karton Jossowi – ale źle się czułam i dopiero przed chwilą odsłuchiłam z sekretarki apel Daisy.

Przypomniałam sobie, że mam to pudło i że nigdy nie lubiłam tych skorup.

Amy zajrzała do środka.

– Royal Doulton! To bardzo szlachetna porcelana.

– Mam nadzieję, że ci się przyda. Jestem ci bezgranicznie wdzięczna za opiekę nad Lionelem.

– Nie wiem, czy odważę się jej używać – rzekła Amy.

– Ja też mam taką, ale z delikatniejszym wzorem. Ten serwis należał do mojej teściowej. Pozwalam ci wytluc go co do sztuki. Pomyślałam... – Zawahała się, po czym zebrała na odwagę. – Pomyślałam, że jak przyjdę z prezentem, skorzystam z porady pana doktora.

Joss prowadził starszą panią do kuchni, ponad jej głową uśmiechając się porozumiewawczo do Amy. Jako lekarz z paroletnim doświadczeniem dobrze wiedział, co go czeka.

– Mogła pani do mnie przyjść i bez prezentu – zauważył. Uwaga ta bardzo ją zmieszała.

– Marigold, niech pani mówi – zachęcała ją Amy.

– Wydaje mi się, że... umieram.

– Słucham?

Pani Waveny potrząsnęła głową, jakby od czegoś się oganiała. Od lęku?

– Serce mi wariuje – zaczęła. – Ono chce stanąć – szepnęła. – Czuję to. A jak umrę, to kto weźmie tę porcelanę? – Powiodła wzrokiem od Jossa do Amy i rozplakała się.

W końcu poznali przyczynę jej przerażenia. Gdy posadzili ją w jednym z nowych foteli, Joss zamienił się w słuch.

– Czuję się zmęczona. Od kilku tygodni jestem taka słaba, że czasami wydaje mi się, że zaraz upadnę. A w nocy nie mogę spać, bo serce mi wali jak młotem.

I bardzo się wtedy boję. Teraz też bije za mocno. Aż brakuje mi tchu. Wszystko robię z ogromnym wysiłkiem. Codziennie odwiedzam Lionela, ale to mnie wykańcza. Dzisiaj czułam się tak okropnie, że do niego nie poszłam. Amy, to mi się jeszcze nie zdarzyło!

Powinna była zauważyć nieobecność Marigold. No cóż, tyle się tego dnia wydarzyło! Do Lionela to nie dotarło, ponieważ był zbyt pochłonięty nowym latawcem oraz opiekował się psem.

– Zostałam w łóżku – ciągnęła zrozpaczona kobieta – ale to nie pomogło. Serce się nie uspokoiło. I boli. Jak niosłam to pudło, myślałam, że umrę, ale pocieszałam się tym, że umrę na progu domu lekarza, a nie samotnie w domu.

Uff, pomyślała Amy, trup na progu.

Joss przyklęknął i mierzył starszycę puls.

– Amy, masz tu słuchawki?

Ruszyła po lekarską torbę. Jako pielęgniarka środowiskowa, która wyjeżdża do chorych, miała ją zawsze pod ręką.

– Czy ja zwariuję? – zaniepokoiła się Marigold.

– Raczej nie. – Przyglądał się jej uważnie. – Jest pani bardzo chuda. Zawsze była pani taka szczupła?

– Trochę schudłam. Jestem taka słaba, że nie mam siły gotować.

– Podsumujmy: schudła pani oraz ciągle jest pani zmęczona?

– Niech pan nie zapomina, doktorze, że ja mam siedemdziesiąt trzy lata.

– W porównaniu z pensjonariuszami Amy jest pani bardzo młoda. – Przechylił jej głowę, by delikatnie obmacać szyję. – Czy w pani rodzinie ktoś cierpiał na choroby tarczycy?

– To możliwe – mówiła powoli. – Moja matka brała jod. Na tarczycę?

– Prawdopodobnie. – Amy podała Jossowi słuchawki. Gdy badał pacjentkę, w kuchni zapadła cisza przerywana jedynie posapywaniem szczęśliwego psa. Marigold natomiast była przerażona.

– Bardzo źle, doktorze?

Zwlekał z odpowiedzią. Jesteś chirurgiem, nie kardiologiem, pomyślał. Był jednak pewien, że się nie myli.

– To jest migotanie przedsionków. Szybkie, nieregularne bicie serca.

– Aż tak? – przeraziła się Marigold.

– Nie jest najlepiej, ale jeszcze pani nie umiera. – Powiodł dłonią po jej szyi. – Podejrzewam, że przyczyną jest nadczynność tarczycy. Będę miał pewność, dopiero gdy zrobimy badanie krwi, co w tej chwili nie jest możliwe. Na razie musimy przyjąć, że to tarczycza.

– Tarczycza powoduje niewydolność serca?

– To nie jest niewydolność serca. Pani serce po prostu pracuje za szybko. Ma pani wszystkie objawy. Uczucie zmęczenia, lekko nabrzmiała szyję, brak tchu, jest pani pobudzona, odczuwa ból w klatce piersiowej. Jeśli jest to nadczynność tarczycy, można ją leczyć proszkami.

Staruszka nie dowierzała własnym uszom.

– Pan żartuje.

– Mówię poważnie.

– I nie zwariowałam?

– Na pewno nie.

– Co mam wobec tego zrobić? – Popatrzyła na nich. – Zdaje się, że muszę poczekać na wizytę u lekarki w Bowrze.

– Nie. – Joss potrząsnął głową. – Nie możemy cał-

kiem wyeliminować choroby serca. Dopóki tego nie zrobimy, trzeba przyjąć wersję najbardziej pesymistyczną. Do badań powinna pani zamieszkać w domu opieki.

– Ale potem wrócę do siebie?

– Oczywiście. – Podniósł się i pomógł jej wstać.

– Zawiozę panią do domu, żeby zabrała pani potrzebne rzeczy, a potem do szpitala Amy. Masz lanoxin, prawda? – zwrócił się do Amy.

– Jasne. – Była prawie tak oszołomiona jak Marigold.

– Ten lek trochę uspokoi serce. Dodamy do tego jakiś środek nasenny, żeby mogła się pani wyspać. Zapewniam, że jutro będzie pani radosna jak skowronek. Amy, znajdzie się u was wolne łóżko?

– Nie trzeba... – zaprotestowała Marigold.

– Trzeba – przerwał jej Joss. – Amy, zadzwoń do Mary i uprzedź ją, że wkrótce tam się stawimy.

Amy patrzyła za różowym volkswagenem.

Sama też by sobie poradziła. Gdyby pani Waveny się do niej zgłosiła, też położyłaby ją w szpitalu i zadzwoniła do lekarki w Bowrze. Lecz Marigold nie poprosiłaby jej o pomoc. Ludzie zupełnie inaczej traktują pielęgniarkę, a inaczej lekarza. Na dodatek mieszkańcy Iluki wiedzą, że jest zapracowana. Gdyby nie to, że zjawił się tu Joss, pani Waveny wybrałaby czekanie. W przypadku ataku serca mogłoby to skończyć się tragicznie. Iluka potrzebuje lekarza.

Ale nigdy nie będzie go miała, pomyślała ze smutkiem. Joss wyjedzie i wszystko będzie po staremu.

Na razie jednak Amy najadła się do syta, miała ciepły i umeblowany dom oraz lekarza, który zajmuje się jej podopiecznymi. Czuła, że za chwilę pęknie ze szczęścia.

– Chodźmy na spacer – rzekła do Bertrama, pisząc

kartkę do Jossa. Jeszcze przed jego powrotem musi spalić choć trochę rozpiętej ją energii.

Nadal padało.

– Po to wymyślono kalosze, parasole i płaszcze przeciwdeszczowe – wyjaśniła psu, który też bardzo chciał się przejść. – Na co czekamy? Muszę pozbyć się... sama nie bardzo wiem czego. Jeśli tego nie zrobię, to gdy wróci twój pan, rzucę się mu na szyję.

A to nie byłoby wskazane.

„Jesteśmy z Bertramem na plaży”. Joss przez chwilę wpatrywał się w kartkę, zastanawiając się, co zrobić. Czeką na niego praca. Pani Waveny już jest w domu opieki. Odzyskała poczucie bezpieczeństwa, ponieważ poznała diagnozę, a na dodatek Lionel jest tuż obok. Co więcej, wszyscy pensjonariusze są jej przyjaciółmi. Czy byłoby to możliwe w wielkomijskim szpitalu?

Czy on, Joss, czułby się dobrze w roli wiejskiego lekarza? Tego wieczoru był z siebie bardzo zadowolony. Cholera, szpital, w którym wszyscy się znajdują! Lecz w Iluce nie warto otwierać prywatnego gabinetu.

O czym ty myślisz?! Chcesz tu osiąść jako prowincjonalny lekarz? Jesteś chirurgiem. Mieszkasz w wielkim mieście.

Tutaj jest Amy. Amy jest zaręczona. Idiotyczne mrzonki, mruknął. Weź się w garść. Amy. Najcudowniejsza kobieta pod słońcem. Pierwsza, która zrobiła na nim takie wrażenie. Nie miał w zwyczaju tak reagować na płęć przeciwną.

Kobiety traktował jedynie jako dodatek. Taką decyzję podjął lata temu. Lubił ich towarzystwo, ale nie zakochiwał się, nie w głowie był mu stały związek. Na przykładzie ojca widział, dokąd prowadzi przywiązanie

i nie zamierzał podążać tą samą drogą. Dom, dzieci, hipoteka, prywatna praktyka... Nie, to go nie pociąga. Więc dlaczego nie przestaje o tym myśleć? Może dlatego, że Amy jest niedostępna?

Tak, to o to chodzi. Trochę mu ulżyło, gdy znalazł przyczynę. Amy jest narzeczoną innego. Poza tym nie może się stąd wyrwać, przez co jest absolutnie nieosiągalna. Pewnie dlatego tak jej pragnie. Niewiele mu to pomogło. Włączył komputer i otworzył notatki. „Przyczyną wewnętrznego wylewu zagrażającego życiu...”

Nie mógł się skupić. Myślał tylko o Amy. Jest na plaży z jego psem, a on siedzi nad referatem, którego nikt nie będzie słuchał. Ten referat jest bardzo ważny, przekonywał sam siebie. To owoce twojej wieloletniej pracy.

– Zajmę się tym po powrocie do Sydney.

– Powiedziałaś ojcu i Daisy, że musisz napisać referat.

– Skłamałem. Jestem tutaj, bo chcę być blisko Amy.

– Amy jest zaręczona.

Cholera.

Odsunął laptopa, zamknął notatki, włożył jakiś płaszcz, który znalazł na wieszaku, i ruszył nad morze.

Amy uwielbiała tę plażę. W lecie smażyli się na niej milionerzy, lecz w zimie należała do niej. Kilka kilometrów w obu kierunkach. Jej plaża. Dzisiaj przysła tu z Bertramem. Razem pobiegli w stronę wody. Na samym brzegu poczuła, że rozpiera ją radość: asystowała przy porodzie, w czarodziejski sposób została uwolniona od kłopotów natury finansowej, ma ogrzewanie, dużo jedzenia...

– Za jednym zamachem rozwiązał wszystkie moje

problemy – poinformowała Bertrama. Po raz setny rzuciła mu patyk i patrzyła, jak w strugach deszczu pies frunie za zdobyczą.

Oboje nie posiadali się z radości. Może powinna mieć psa? Czy Malcolm lubi psy? Raczej nie. W tej samej chwili Bertram wyskoczył z wody i tuż obok niej energicznie się otrząpał. Nie, Malcolm na pewno nie lubi psów.

Malcolm. Nie zadzwonił. Zawsze telefonował koło siódmej. Wobec tego ona do niego zadzwoni. Po co? Nie musi z nim rozmawiać codziennie. To tylko przyzwyczajenie. Malcolm to tylko przyzwyczajenie. W przeciwieństwie do Jossa?

Daj spokój. Deszcz zelżeje, ruszy prom i Joss zniknie. Masz tylko Malcolma, więc musisz dbać o tę znajomość.

Zadzwoni wieczorem. Albo jutro.

Obserwował ich z wydmy. Była ciemniejszym cieniem na tle morza. Rzuciła Bertramowi patyki, a on aportował je z niezmordowanym entuzjazmem. Widać było, że ta zabawa obojgu sprawia wielką przyjemność.

Powinna mieć psa. Może by jej kupić? Przecież nawet nie wiesz, czy ona naprawdę lubi psy! Może jest tylko uprzejma? Chyba nie. Jaka ona jest piękna!

Nie oszukuj się. Pociąga cię, ponieważ na to zasługuje, jest śliczna oraz niedostępna. Na pewno by ci się tak nie podobała, gdyby było inaczej. Przez najbliższych sześć lat jest skazana na tę dziurę. Kto chciałby się z nią wiązać? Malcolm. Poza tym Iluka wcale nie jest taką straszną dziurą.

– To jest koniec świata.

– Ale nigdzie nie ma drugiej takiej plaży. Popatrz. Nagle przestało padać i zza chmur wyszedł księżyc.

Po lewej i po prawej stronie Joss miał kilometry pustej plaży, a przed sobą spienione fale oceanu. Nic poza tym. Tylko plaża i Amy z psem. Kto potrafiłby dobrowolnie skazać się na to miejsce?

Popatrzył na luksusowe rezydencje milionerów za plecami. Tak, ale te domy należą do ludzi, którzy cenią sobie prywatność. Za to emeryci są tutaj, ponieważ ich oszukano. To z powodu izolacji od świata ojczym Amy wybrał to miejsce. Nie ma tu ani jednego sklepu z prawdziwego zdarzenia. Nie ma tu dzieci, które mogłyby zburzyć spokój. W Australii nie można mieć plaży na własność, więc ten zakątek jest dla zamożnej elity wymarzonym odludziem. Pobudowała tu sobie luksusowe wille, z których korzysta przez sześć tygodni w roku. Kosztem mieszkańców Iluki.

Zrobiło mu się zimno. Powinien zająć się ważniejszymi sprawami niż problemy Amy. Musi napisać referat.

Referat może poczekać. Wsunął ręce do kieszeni i ruszył w kierunku swojego psa. Oraz Amy.

Gdy skulony schodził z wydmy, ujrzała swego ojca. Człowieka, który ją kochał i umarł, skazując ją na ojczym potwora.

– Co się stało? – Gdy zrównał się z nią, dostrzegł na jej twarzy uśmiech zabarwiony smutkiem. – Wyglądasz, jakbyś zobaczyła zjawę.

– Bo zobaczyłam. – Zebrała się w sobie. – Przez ten płaszcz. Należał do mojego ojca. Po jego śmierci matka go zatrzymała, a potem pożyczyła go Robbiemu. Ogrodnikowi. Robbie był moim przyjacielem. Z braku pieniędzy musiałam go zwolnić. Kochany staruszek. Teraz mieszka w Bowrze i jest bardzo nieszczęśliwy. Chciałam podarować mu ten płaszcz, ale odmówił.

Powiedział, żebym go trzymała, aż znowu będę mogła go zatrudnić. Klepie straszną biedę, bo troska o służbę nie była w stylu mojego ojczyma.

– Zdaje się, że nie spędzasz dużo czasu na polerowaniu jego płyty nagrobnej.

– Zostawiam to jego siostrzeńcom.

– Oni go kochali?

– Jego pieniądze. – Skrzywiła się. – Dajmy mu spokój. Popatrz, jaki niesamowity wieczór.

Niesamowity? Znowu zaczęło padać. Po twarzy spływały mu strugi deszczu, wiatr zerwał mu kaptur, tak że już miał mokrą głowę, a przed nimi grzmiały spienione fale.

Tak, ten wieczór jest niesamowity. Zerknął na nią i zauważył, że uśmiecha się inaczej.

– Też ci się podoba – zauważyła, nie kryjąc zadowolenia. – Wiedziałam, że lubisz taką scenerię.

– Imponująca.

– Ojczym wcale nie musiał wyłączać tej plaży z gruntów publicznych. Jest jej tyle, że nawet gdyby przyszło tu tysiąc osób, też znalazłoby się sporo odosobnionych zakątków. – Zamachnęła się patykiem. Bertram rzucił się w pogoń. – Mamy dla siebie całą tę przestrzeń. Czasami czuję się bardzo bogata. Dziwię się, że chcesz wracać do Sydney.

– Wcale nie mam na to ochoty. Chyba tu zostanę.

– I będziesz żył z tego, co morze wyrzuci na plażę?

– Mogłoby być gorzej.

– Rozstałbyś się z chirurgią?

Oczywiście. Oboje to wiedzieli. Życie na plaży. Z Amy.

– Wdrapiemy się na skały? – zapytała. Zorientowała się, że należy zmienić temat. – Stamtąd jest piękny widok. Ale grozi to zamoczeniem butów.

– Bardziej mokre nie będą.

Chwyciła go za rękę. Ten jeden gest wszystko zmienił. Przystanęli pod wysoką skałą, która wynurzała się z przybrzeżnych fal.

– To jest trochę ryzykowne – ostrzegła go. – Trzeba znać drogę. Trzymaj się mnie.

Nie mógłby jej nie posłuchać.

Trochę ryzykowne? Powinna się leczyć, pomyślał, wdrapując się na kolejny głaz. Tuż pod nimi z łoskotem rozbijały się spienione fale. Bertram, który został na plaży, obserwował ich z niepokojem. Nie poszedł z nimi. Nie był głupi.

Amy pokonywała tę trasę setki razy. Najgorsze było rumowisko u stóp skały. Po pierwsze było tam ślisko, po drugie trzeba było tak obliczyć kroki, by zdążyć między jedną falą a następną. Nie było to proste. Gdy Joss źle skalkulował prędkość fali, dostał się pod fontannę zimnej piany.

– Chyba przesadziłaś – mruknął. – Jest odpływ i zaraz fale ściągną nas na środek oceanu. Albo zostaniemy tu odcięci od świata przez przypływ.

– Naczytałaś się za dużo powieści przygodowych – zganiła go. – „Księżyc jak upiorny galeon unosił się wśród spienionych fal...” Piraci, skrzynie pełne skarbów, bohaterka przykuta łańcuchem do skały i woda, która podchodzi coraz wyżej.

– „Księżyc jak upiorny galeon”? To był początek opowieści o rozbójnikach.

– Niewielka różnica. Bohater przestępca i naiwna panna, która z miłości do niego rzuca wszystko, żeby pójść za nim. Ale się nie martw. Teraz jest przypływ, więc gorzej nie będzie, a ja nie jestem głupia, żeby

ryzykować. Popatrz, tu już będzie sucho. Widzisz, jakie ściany?

Rzeczywiście. Wprowadziła go do skalnego tunelu.

– Czuję się jak Mojżesz w Morzu Czerwonym.

– Jego zdziwienie bardzo ją rozbawiło.

– Morze się rozstało. To moje ulubione miejsce. Dzikie i magiczne.

Milczał. Może dlatego, że akurat szukał stopą równego miejsca, a może dlatego, że ta niesamowita scenaria go zauroczyła.

W końcu dotarli do celu: rozległej platformy na szczycie skały. Amy puściła rękę Jossa i ruszyła przodem, by wskazać mu drogę na platformę. Gdy już tam się wspiał, ujrzał ją na przeciwległym krańcu. Wpatrywała się w księżyc. W jego blasku jej twarz wydała mu się bajkowo piękna. Ta dziewczyna potrafi być szczęśliwa wszędzie, każde zajęcie daje jej radość. Potrafi cieszyć się życiem.

Była przemoczona do suchej nitki. Mokre włosy oblepiały jej twarz. Miała na sobie przykrótką kurtkę i znoszone ubranie. Mimo to upajała się wiatrem, jakby należał do niej cały świat. Nie wytrzymał. W takiej sytuacji żaden mężczyzna nie pozostałby obojętny. Chwytał ją za rękę, jakby dla złapania równowagi, i przyciągnął do siebie. Pocałował ją. Musiał to zrobić. Po prostu nie mógł się opanować.

Amy jest taka pończta. Taka piękna. Taka...

Nie znajdował słów. Delikatnie odgarnął z jej czoła mokry kosmyk. Po jej twarzy spływały strużki słonej wody. Musiał ich skosztować. Jej wargi za to wyglądały tak słodko... tak kusząco. Czekały na niego. Jego kobieta...

– O piękna pani, w blasku księżycy przysięgam ci...

Księżycowe szaleństwo. Tak, to ten sam księżyc sprawił, że Romeo poświęcił wszystko dla Julii!

Joss, jesteś lekarzem, nie poetą! Jednak tego wieczoru stał się poetą. Taka sama metamorfoza przydarzyłaby się każdemu, kto poczułby w swoich ramionach tyle słodczy.

Amy jest jego przeznaczeniem. Miał wrażenie, że odnalazł swoją drugą, zaginioną połowę. Ich ciała pasowały do siebie idealnie, jakby znali się od zawsze. Całował ją do utraty tchu, ponieważ jeszcze nigdy nie przepełniała go tak ogromna radość. A ona?

Coś ty zrobiła?! Przyprowadziłaś tego mężczyznę do swojego tajemnego zakątka, gdzie wyplakiwałaś oczy jako dziecko, gdzie chowałaś się, gdy dokuczyła ci okrutna rzeczywistość. To jest twoja świątynia, miejsce, w którym wracają ci siły i chęć do życia.

Nie przewidziała tego. Że się zakocha. A to właśnie się stało. Kierowana siłą, której nie potrafiła się oprzeć, odwzajemniła pocałunek Jossa. I otworzyła przed nim serce. Jej ciało zaś wtulało się w niego, pragnąc go i oczekując. Myślała tylko o tym, by ten pocałunek trwał jeszcze dłużej, by Joss był jeszcze bliżej. To już chyba niemożliwe. Bliżej niż są w tej chwili? Dwie połowy cudownej całości. Tajemnym zrzędzeniem losu ich drogi połączyły się. Od tej pory mogliby już zawsze iść razem. Zawsze.

Ramiona Jossa przytulały ją coraz mocniej, pocałunek stawał się coraz bardziej gorący, a wraz z nim narastało ich zdumienie. Przebiegło mu przez myśl, że takiej kobiety jeszcze nie całował. Żadna nie zdołała obudzić w nim tak oszałamiających doznań. Dlaczego? Ta dziewczyna jest cała mokra, nie uznaje makijażu, ubiera się byle jak i jest potargana jak straszdyło. Po

twarzy spływają jej strugi deszczu. Trudno tak daleko odbiegać od ideału kobiety.

Więc dlaczego obudziła w nim tak niewyobrażalne pożądanie? Nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, że drzemie w nim taki potencjał! Nie znalazł odpowiedzi.

W końcu rozłączyli się. Zostali do tego zmuszeni przez fale, które zalewały im buty, oraz Bertrama, który zaciekłym ujadaniem dawał im do zrozumienia, że mogliby już do niego wrócić.

– Bertram się niepokoi – szepnęła Amy.

– Bertram?! – parsknął Joss. – A co ja mam o sobie powiedzieć?

– Ej, nie jestem nosicielką żadnej zakaźnej choroby!

– Amy... – zaczął, lecz położyła mu palec na wargach.

– Nie rób tego.

– Czego mam nie robić?

– Nie przepraszaj. To jest noc cudów. Uważam, że takie noce należy przypieczętować pocałunkiem. Nie mam racji?

– Przestałem cokolwiek rozumieć. Amy, co tu się stało?

– Jakieś wyładowanie elektryczne. Księżycowa energia plus woda. To mogło wyzwolić całkiem potężny ładunek.

Chyba tak się stało.

– Amy, ja wcale nie zamierzałem...

– Ależ rozumiem – odparła uprzejmie. – Ja również nie miałam żadnych planów. Za to Bertram o coś nas podejrzewa i zachowuje się jak przyzwoitka. Wracajmy.

Przytaknął. Był cały mokry i zziębnięty. Chyba nie ma ochoty tu zostać? Owszem, miał.

Amy jednak wykazała się większym opanowaniem.

– Idziemy. – Pociągnęła go za rękę. – Ja muszę zadzwonić do narzeczonego, a ty przygotować się do konferencji.

Słusznie. Na dole czeka Bertram. W domu referat. A w Bowrze nieznany mu Malcolm.

Ale jak tu po takich przeżyciach zabrać się do pisania jakichś konferencyjnych materiałów? W domu wziął prysznic i przebrał się w kolejny zestaw ojcowskich rzeczy. Marzyła mu się druga para dżinsów. Na tej fali po raz setny zastanawiał się, jak ta kobieta sobie radzi bez sklepów. Gdy zszedł do kuchni, Amy tam nie było.

„Poszłam spać”, przeczytał. „Zrób sobie kakao”.

Aha, kakao. Koniecznie. Zwłaszcza gdy jemu marzy się...

Seks? Nie. Nie seks. Nie tylko seks.

Potrzebował Amy.

Była dziewiąta. Po dniu pełnym wrażeń powinien być skonany. Może też powinien pójść spać? Z korytarza usłyszał szum wody w pokoju Amy. Niespodziewanie zamajaczyła mu w głowie pewna wizja...

Spokojnie! Uważaj, stary, bo pójdziesz drugi raz pod prysznic. Tym razem zimny.

Bertram wsunął nos w szparę pod jej drzwiami. Zaskomlął, domagając się wpuszczenia do pokoju.

– Nie, mój drogi. – Joss odciągnął go za obrożę. – Nie jesteśmy tam mile widziani. Ona ma narzeczonego.

Może to dobrze, pomyślał. Nie cieszy go perspektywa ugrzęźnięcia w Iluce. Wystarczy, że musi tu co jakiś czas odwiedzać ojca. Lecz w Iluce mieszka także Amy.

Szum wody ucichł. Chyba się wyciera.

– Doktorze Braden, niech się pan weźmie w garść – mruknął. – Jest pan dorosłym facetem. Z potrzebami dorosłego faceta.

Mógłbym wytrzeć jej plecy...

Zadzwoił telefon. Joss zawahał się. Spodziewał się, że Amy otworzy drzwi i wybiegnie do kuchni. W porę jednak zorientował się, że telefon jest też w jej sypialni. Szkoda. Dlaczego ma drugi telefon, jeśli brakuje jej forsy?

Poczuł, że zwariuje. Nie ruszył się z miejsca. Posłucha trochę, przez minutkę.

– Malcolm? – Usłyszał przez drzwi. – Cieszę się, że dzwonisz. Niepokoiłam się o ciebie.

Cholera. Ruszył w stronę swojego pokoju. Amy niepokoi się o Malcolma? Za to on musi sam niepokoić się o siebie!

Amy już do pewnego stopnia ochłonęła i teraz rozmawiała przez telefon z narzeczonym. To, co się stało na skałkach, to tylko niewinne zboczenie, stwierdziła. Nie ma to żadnego wpływu na nią, ani na jej przeszłość. To tylko pocałunek.

Który sprawił, że pobiegła do swojego pokoju i zamknęła się na klucz, dziękując Bogu za łazienkę. Nie chciała tego wieczoru więcej oglądać Jossa.

To był tylko pocałunek, powtarzała w kółko. Pocałunek bez przyszłości. Jej miejsce jest w Iluce. Z Malcolmem. Właśnie do niej zadzwonił. Dziwiło ją, że spóźnił się z tym aż dwie godziny. Nigdy mu się to nie zdarzało.

– Niepokoiłam się, że nie dzwonisz. Tłumaczyłam sobie, że zerwało linię.

– Nie, nie. Podobno straciliście most. – W jego głosie wyczuwała napięcie. Zazwyczaj był bez troski.

– Tak, woda go zabrała, ale u nas wszystko jest w porządku. Mieliśmy jeden wypadek...

– Kto to był? – Znowu ten niepokój.

– Nie znamy nazwiska. Młoda kobieta roztrzaskała ciężarówkę. Urodziła dziecko w domu starców.

– Dziecko? – Odniosła wrażenie, że się przeraził.

– Dziewczyna jest w dobrych rękach. My też. Pomaga nam syn Davida Bradena, chirurg. Wyjeżdżał od ojca, gdy most odpłynął mu sprzed nosa. Zrobił cesarskie cięcie. W ten sposób mamy śliczną dziewczyneczkę. Możemy liczyć na jego pomoc.

Malcolm zwlekał z odpowiedzią.

– Kobieta jest zdrowa – rzekł powoli. – A dziecko?

– Śliczne. Malcolm, coś się stało?

– Nie, nic. Czy wiesz, jak nazywa się ta kobieta?

Ściągnęła brwi. Charlotte nie wyraziła ochoty, by rozgłaszano jej dane. Gdyby nie policjant, który poszedł tropem numeru rejestracyjnego jej auta, do tej pory nie mieliby pojęcia, kim jest.

– Nie życzę sobie, żeby o niej cokolwiek wiedziano. Podobnie jak my jest tutaj uwięziona. Mam nadzieję, że wkrótce ruszy prom.

– Mhm.

– Dziwnie reagujesz.

– Naprawdę? – Znowu milczenie. – Wydaje ci się. Pewnie woda dostała się do przewodów.

– U was wszystko w porządku?

– Dlaczego miałoby być inaczej?

– Faktycznie, nie ma powodu. – Nie bardzo mu wierzyła. Był bardzo rozkojarzony.

– Tobie nic nie dolega? – spytał z wymuszoną troską.

– Jestem zmęczona. Następnym razem. Dobranoc.

On też chciał jak najszybciej zakończyć tę rozmowę.

– Dobranoc.

Wpatrywała się w słuchawkę. O co tu chodzi?

Położyła się, lecz nie mogła zasnąć. Wpatrując się w sufit, rozmyślała o tym pocałunku. Bez sensu. Pocałunek oraz jej reakcja na niego zdecydowanie nie miały najmniejszego sensu. Pocałunki Malcolma niczego w niej nie poruszały.

Może dlatego, że Joss to zakazany owoc? Zawsze chciałaś tego, czego nie mogłaś mieć. Nie możesz mieć Jossa.

Mogłaby otworzyć drzwi sypialni. Natychmiast. Co ci się roi? Chciałabyś go uwieść?

– Nie miałabym nic przeciwko temu – odparła szczerze. Co z tego wyniknie? Zerwane zaręczyny i beznadziejna pustka po wyjeździe Jossa. – Ale mogłabym się trochę rozerwać. Choćby przez parę dni, dopóki nie ruszy prom.

Rozrywka? Zdażyła już zapomnieć, co to znaczy. Po śmierci ojca świat stał się niebezpieczny i pełen zasadzek. Można w nim przetrwać wyłącznie dzięki ciężkiej pracy. Jeszcze sześć lat. Co potem? Ślub z Malcolmem...

Ślub mogliby wziąć wcześniej. Ta perspektywa napawała ją strachem. Malcolm napierał, by już się pobrali. Zostanie w Bowrze, bo tam pracuje, ona nie wyjedzie z Iluki, więc odwiedzały ją w weekendy. Weekendowe małżeństwo.

Nie podniecała jej ta wizja. Nie podniecał Malcolm.

– To dlatego, że ci spowszedniał. – Znała go na wylot. Ale... tego wieczoru był jakiś inny. Próbowwała dojść, co mu się stało. – Może wcale nie znam go aż tak dobrze? Może jest Jamesem Bondem incognito? Albo Jossem...

Uśmiechnęła się, lecz to skojarzenie nie pomogło jej zasnąć. Nie przeszkadzał jej w tym Malcom. Przyczyną tej bezsenności był zdecydowanie Joss Braden.

Ten dzień w życiu Jossa obfitował w wydarzenia.

O mało nie zginął, o mało nie runął z całym mostem do rzeki, zakochał się... Skąd ten pomysł?!

– Wydaje ci się – mruknął w mrok.

Miłość? Co ty wiesz o miłości? Niewiele. Ale na pewno tyle, że Amy jest najpiękniejszą kobietą pod słońcem.

Wcale nie jest piękna, starał się myśleć racjonalnie. Nie przystaje do kanonów kobiecej urody. Nie dba o siebie.

Lecz gdy się uśmiecha...

– Wtedy jest piękna – szepnął. – Po prostu piękna.

O drugiej w nocy, gdy zadzwonił telefon, Joss nadal nie spał. Usłyszał, że Amy z kimś rozmawia. Szpital? Gdy zapukała do jego drzwi, od razu sięgnął po ojcowski szlafrok.

– Kłopoty? – rzucił.

Trudno było mu się skupić na poważnych problemach. W jego sypialni było ciemno, a Amy stała w progu w poświacie lampy w holu. Była w długiej koszuli, sięgającej bosych stóp. Na ramiona opadał jej płaszcz ciemnych włosów. Wyglądała jak wysłanniczka niebios. Zwinnymi palcami już splatała warkocz, najwyraźniej szykując się do akcji.

– Pomożesz?

Po to tu jest! Dobrze, że się odezwała, bo gdyby dłużej się jej przypatrywał, mógłby postradać zmysły.

– Co się stało?

– Małe dziecko. Dziewczynka...

– Dziecko? – zdumiał się. – Tutaj, w Iluce?

– Mamy ich tu kilkoro. Do pani Crammond przyjechała wnuczka. Ma sześć lat. Obudziła się zapłakana. Pani Crammond mówi, że Emma nie może chodzić.

Odrzucił szlafrok, ściągnął górę od piżamy i sięgnął po sweter ojca. Jego umysł już pracował na częstotliwościach zawodowych. Analizował i odrzucał diagnozy. Był tym tak pochłonięty, że nawet nie zwrócił uwagi na brzydotę darowanego swetra. Jest przede wszystkim lekarzem, więc nagłe wypadki są dla niego najświętszym priorytetem. Niemal najświętszym. Ach, ta przezroczyista koszula Amy...

Chłopie, skup się!

– Jak myślisz? Co to jest? Histeria? – Porażenie połowiczne występuje wśród dzieci wyjątkowo rzadko, więc przyczyna natury psychologicznej jest bardziej prawdopodobna.

– Pani Crammond uważa, że to coś poważniejszego. Ataki hysterii raczej nie zdarzają się o drugiej w nocy, chociaż mała tęskni do rodziców. Jest u dziadków od tygodnia, jutro miała jechać do domu. Martwiła się, że teraz nie może. Pani Crammond mówi, że gdy kładła ją spać, wszystko było dobrze.

Co to może być? Przemyślał inne diagnozy.

– Jadę. Gdzie ona jest?

– Jedziemy – poprawiła go. – To moje miasteczko.

– Jutro od samego rana masz być na chodzie – zauważył.

– Jedziemy – powtórzyła tonem tak stanowczym, że zrezygnował z dalszego sporu. – Zaczekaj, aż się ubiorę.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nie był to atak hysterii. Mała Emma była bardzo chora. Gdy dojechali do domu państwa Crammond, babcia odchodziła już od zmysłów, a dziadek lada moment do niej by dołączył.

– Nie rusza już ani nogami, ani rękami – wyszeptała przerażona kobieta, prowadząc ich do pokoju wnuczki.
– Dziękuję Bogu, że nam pana zesłał. Jest z nią bardzo źle.

Dziecko miało szeroko otwarte oczy, oddychało bardzo szybko i z wielkim trudem. Bładosina skóra świadczyła o niedoborze tlenu we krwi. Już w progu Joss zorientował się, że ma do czynienia z objawami zatrucia cyjankiem.

– Mamy tlen? – zapytał, drżąc na myśl, jaka będzie odpowiedź Amy, lecz ona była już przy drzwiach.

– Tak, zaraz przyniosę.

Miała nie tylko tlen. Była wyposażona jak najlepszy lekarz. Jedną ręką podawała mu słuchawki, drugą już mocowała maskę do pojemnika z tlenem. Mógł się tego spodziewać. Jako pielęgniarka środowiskowa odpowiedzialna za całą miejscowość była przygotowana na różne problemy swych leciwych podopiecznych. Tlenu mogła potrzebować w każdej chwili. Skoncentrował się na cierpiącym dziecku. Jego stan budził przerażenie.

– Nie mogę... – krzyczała dziewczynka. Rzuciła się na łóżku, jakby chciała uciec niewidzialnym demonom.
– Nogi! Nie mogę ruszać nogami... Chcę do mamy!

– Mama jest w Bowrze – zaszłochała babcia. – Boże, co się z nią dzieje?

– Emmo, nie krzycz. Pan doktor musi cię zbadać – przemawiała Amy. – Teraz założę ci na twarz maskę, która pomoże ci oddychać. Ale nic z tego nie będzie, jeżeli będziesz się tak rzucać. Nie ruszaj się. Słyszysz?

Dziewczynka przytaknęła, lecz nadal była ledwie przytomna ze strachu.

– Nie wiemy, co ci jest – Amy mocowała maskę – ale jest z nami doktor Braden, który jak ty nie może stąd wyjechać z powodu zerwanego mostu. Mamy w ten sposób naszego własnego doktora. Dopisało nam szczęście.

Szczęście? Możliwe, ale on nadal nie wie, co się dzieje. Jest chirurgiem, a nie internistą. Przed specjalizacją dwa lata pracował na traumatologii w wielkomijskim szpitalu. Mimo to nie spotkał się z takim przypadkiem.

Dziewczynka była ewidentnie zatruta. Z każdą minutą jej skóra stawała się coraz bardziej sina, co oznaczało, że otrzymuje za mało tlenu. Liczba uderzeń serca na minutę wzrosła do stu siedemdziesięciu, oddech też był za szybki. Za to temperatura ciała była w normie, w płucach nie działo się nic niepokojącego, serce pracowało normalnie.

– Co jadła wieczorem? – zapytał.

– To co my. Pieczeń wołową z jarzynami. Placek z jabłkami. Nic poza tym.

– Na pewno?

– Tak.

Za chwilę będziemy mieli troje pacjentów, uznał ponuro, spoglądając wymownie na Amy.

– Zabieramy ją do szpitala – oświadczył. – Konieczne jest prześwietlenie.

– Ona ma astmę – przypomniał sobie pan Crammond. Joss skinął głową, lecz niewiele mu ta informacja pomogła. – Lekką. Pomyślałem, że powinien pan o tym wiedzieć.

Z astmą by sobie poradził, ale to nie jest astma.

– Amy, mamy salbutamol?

– Oczywiście. – Już się tym zajęła. Jest świetna, pomyślał Joss. Fantastyczna w pracy zespołowej.

– Podamy jej salbutamol, żeby wykluczyć atak astmy – powiedział, spoglądając na przestraszone oczy dziewczynki. – Ale to nie pasuje do objawów...

Zawieźli Emmę do szpitala gruchotem Amy. Joss na tylnym siedzeniu czuwał przy dziewczynce, cały czas przytrzymując maskę tlenową. Polecili dziadkom, by przygotowali torbę z jej rzeczami i zawiadomili matkę. Oraz aby nieco ochłonęli. Byli tak zestresowani, że Amy zatelefonowała do sąsiadów z prośbą, by ich przywieźli do szpitala. Okazało się wtedy, że mieszkają po sąsiedzku z ojcem Jossa. David i Daisy tworzyli przytomną i zorganizowaną parę. Można było bez obaw powierzyć im troskę nad dziadkami Emmy.

W drodze do szpitala stan dziewczynki systematycznie się pogarszał. Było z nią tak źle, że pomagając Jossowi wyjąć ją z auta, Amy zaczęła się modlić. Czyżby mieli ją stracić? Dlaczego? Co to może być?

W domu opieki wszyscy już spali. Sue-Ellen, która miała nocny dyżur, wychynęła z pokoju pielęgniarek, zdziwiona krokami na korytarzu. Podobnie jak Amy przeszła odpowiednie szkolenie, więc bez szemrania przestawiła się na tryb traumatologiczny. Joss nie mógł wyjść z podziwu, gdy jego skromny zespół sprawnie zajął się kroplówką, monitorowaniem tlenu oraz przygotowaniem małej pacjentki do rentgena.

Prześwietlenie nie wykazało żadnych podejrzanych zmian. O co chodzi?! Joss nerwowo przeczesywał włosy, przyglądając się bezradnie dziecku. Cholera! Szkoda, że nie jest w swoim szpitalu klinicznym. Tu potrzebny jest pediatra oraz patolog! Dziecko traci przytomność, a on nie wie, co robić!

– Joss.

– Mhm. – Liczył jej rozszalały puls.

– Joss, zerknij na ten wacik. – Wyczuł wahanie w głosie Amy. To zwróciło jego uwagę.

Czemu ona się przygląda? Przed prześwietleniem przygotował stojak do kroplówki, na wypadek gdyby potrzebna była adrenalina. Wbił wtedy igłę w wierzch dłoni dziecka. W miejscu wkłucia pojawiła się kropla krwi, którą Amy wytarła, a wacik wrzuciła do nerki. Sue-Ellen właśnie zamierzała sprzątnąć naczynie, gdy Amy przytrzymała jej rękę.

– Brązowy. – Amy zerknęła na Jossa. – Coś nie tak.

Zainteresował się wacikiem. Tak, plamka krwi przybrała czekoladową barwę. Rzeczywiście coś jest nie tak. Gdzie o tym czytał? Zacisnął powieki, usiłując sobie przypomnieć. Gdzie? Jest! W artykule, który czytał do któregoś z egzaminów. Zupełnie nieprzydatna informacja nagle ożyła w jego pamięci.

– Methemoglobinemia. – Z trudem wymówił to słowo. Niewiele pamiętał, ale to jest to!

Amy nadal niczego nie rozumiała.

– Co takiego? Metahemo...

– Methemoglobinemia – powtórzył. – Rodzaj ostrej anemii wywołanej zatruciem. – Nie mógł oderwać wzroku od czekoladowej plamki. – Pierwszy raz to widzę. Niektóre substancje chemiczne, trucizny, utleniają żelazo we krwi i przez to krew nie przenosi tlenu.

I właśnie mamy z tym do czynienia. Amy, połącz mnie ze szpitalem miejskim w Sydney. Chcę rozmawiać z hematologiem. Powiedz w centrali, że potrzebuję specjalisty od trucizn, najlepszego. Niech go obudzą. To bardzo pilne.

Do głowy przychodziły mu różne przypadki opisywane w podręcznikach medycyny.

– Węgiel aktywny lub... – mówił sam do siebie, przypominając sobie treść dawno czytanych artykułów. – Czy mamy błękit metylenowy? – zapytał niespodziewanie.

– Błękit metylenowy?

– To antidotum na methemoglobinemię. Używa się go również do barwienia partii narządów podczas operacji.

– Błękit metylenowy... Sprawdzę – powiedziała Amy. – Mamy specyfiki na różne okazje, tak żeby lekarka z Bowry miała wszystko pod ręką, kiedy do nas przyjeżdża.

– Chyba widziałam coś takiego – zaczęła Sue-Ellen. – Cztery lata temu, kiedy się otwieraliśmy, doktor Scott, ta z Bowry, dała mi listę. Były na niej bardzo podejrzane rzeczy. Farmaceuta, który nas zaopatrywał, wydziwiał, jak ona może być taka zacofana. Wydaje mi się, że powiedział to właśnie przy okazji błękitu metylenowego.

– Obyś miała rację – rzekł Joss półgłosem. – Ale nawet jeśli ją macie, to ja nie mam pojęcia, jak to dawkować. Amy, łap za telefon. Skontaktuj mnie z hematologiem.

To, co nastąpiło, stanowiło chlubny przykład współpracy całego środowiska medycznego. Pięć minut później odbyła się konferencja z udziałem pediatry,

hematologa oraz patologa. Wszyscy zostali wyrwani z głębokiego snu, lecz natychmiast zajęli się ratowaniem małej Emmy. Byli zafascynowani jej przypadkiem. Zdaje się, że gdy sytuacja jest niebezpieczna, dobrze, żeby była również interesująca, pomyślała Amy. Dla dziecka walczącego o życie wszystkie drzwi stanęły otworem.

Konferencja była krótka, błyskotliwa i zwięzła. Gdy Joss uzyskał już potrzebną wiedzę, wkroczyła Sue-Ellen z butelką błękitu metylenowego, którą znalazła na dnie szafki z lekami. Wszyscy, łącznie z trzema specjalistami na drugim końcu linii, wstrzymali oddech, gdy podawał chorej pięćdziesiąt miligramów uzdrowicielskiego błękitu.

Potem czekali. Lekarze z Sydney nadal się nie rozłączali. Stan Emmy nie poprawiał się, ale przestał się pogarszać. Traciła i na przemian odzyskiwała przytomność, za każdym razem próbując zerwać maskę. Po dwudziestu minutach zapadła zbiorowa decyzja, że nie należy dłużej czekać. Joss zaaplikował jej następne dwadzieścia pięć miligramów. Dziękował przy tym Bogu za to, że ktoś w Iluce pomyślał o błękitie metylenowym, oraz za to, że ów życiodajny błękit nie jest przeterminowany.

Znowu czekali. To bezczynne przyglądanie się dziecku, które walczy o życie, było najtrudniejsze. I najstraszniejsze. Potem patrzyli na rezultaty tej dramatycznej akcji. Najpierw pomyśleli, że mają przywidzenia. Wstrzymali oddech, po czym poczuli, że chyba są pewni. Siność skóry zaczęła powoli ustępować.

Minęło kilka minut. Teraz mieli już absolutną pewność. Trzej specjaliści z Sydney wiwatowali. Radość malowała się również na twarzach pochylonych nad

Emmą. Po policzkach Sue-Ellen toczyły się łzy jak groch. Joss i Amy nie spuszczała oka z pacjentki, która powoli się uspokajała. Z każdą chwilą nabierała kolorów, oddychała coraz swobodniej.

– Zlokalizujcie tę truciznę – polecił specjalista z Sydney, zanim się rozłączył. Sprawiał wrażenie gbura, lecz i on był wzruszony. – Musiała najeść się czegoś, co utlenia żelazo we krwi. Azotan sodu? Nie puszczajcie jej do domu, dopóki nie zidentyfikujecie źródła, bo znowu u was wyląduje. Następnym razem możecie nie zdążyć. Jeśli ktoś z jej rodziny jadł to co ona, każcie im wyprowadzić się z domu, dopóki nie położycie łapy na tym paskudztwie. – Pożegnał się i poszedł spać.

– Bogu niech będą dzięki – szepnęła Amy. Emma zasypiała spokojnie. Jej skóra już prawie odzyskała naturalny kolor. Amy ułożyła ją wygodniej i delikatnie okryła kocem.

– Chcesz przekazać dziadkom dobrą nowinę? – zapytał.

Nie wpuścili ich do tej sali. Czekali zatem w recepcji, bojąc się tylko we dwoje.

– Ty im to powiedz – odparła. – To ty postawiłeś diagnozę.

– Ale ty zauważyłaś wacik.

– Stanowimy niezły tandem. – Nadal trzymała dziecko za rączkę, ale ono już spało spokojnym snem. – Idź do nich. Posiedzę przy niej. Aha, Joss...

– Słucham. – Odwrócił się od drzwi.

– Dziękuję ci.

– Drobiazg. – Czuł, że rozpira go radość. Dziecko wyzdrowieje! Jakie to piękne uczucie! – Lekarz ratuje życie. Pod warunkiem, że ma do czynienia z niezwykle spostrzegawczą pielęgniarką – dodał. – Jak słusznie

zauważyłaś, tworzymy wyjątkowy tandem. – Popatrz na nią i na śpiącą dziewczynkę. Były... piękne. Wyszedł pospiesznie, by Amy nie zauważyła, że i on ma łzy w oczach.

W recepcji zastał dziadków Emmy oraz ojca z Daisy.

– Przywieźliśmy ich – zameldował ojciec – i zostaliśmy tu z nimi. Naprawdę myślałeś, że wrócimy do siebie, nie wiedząc, co z małą?

Joss popatrzył na ojca z czułością. Nie. Wcale tak nie myślał. On, jego ojciec, kieruje się wyłącznie sercem. I przez to spotykają go różne przykrości. Pochował trzy żony! Tyle razy serce mu pękało, a on zawsze z tego wychodził i znowu ryzykował. Do tej pory Joss nie mógł tego zrozumieć, ale teraz, widząc, jak ojciec cieszy się radością swoich sąsiadów, nagle pojął, jak on funkcjonuje. Tak, posłuszeństwo głosowi serca musi boleć. Lecz teraz... Ile to radości!

Pomyślał nagle, że mógłby oddać swoje serce Amy. Ona twojego serca nie potrzebuje, przywołał się do porządku. Ma narzeczonego. Ma swoje życie.

– Czy możecie przemocować państwa Crammond?
– zwrócił się do ojca, lecz już w połowie tego pytania znał odpowiedź.

– Jasne. Ale dlaczego?

– Emma zjadła coś, co jej zaszkodziło – wyjaśnił.
– Mówiła pani, że na kolację była pieczeń z jarzynami oraz placek z jabłkami. Czy to wszystko? Czy zjadła coś innego?

– Na pewno nie. – Dziadkowie kategorycznie zaprzeczyli.

– Czy teraz nic państwu nie dolega? – Wyglądają zdrowo, uznał. Są zestresowani, ale zdrowi. Reakcja wnuczki była bardzo gwałtowna. Gdyby zjedli to co ona...

– Czujemy się dobrze.

– I niech tak zostanie. Emma czymś się zatrula, więc dopóki nie odkryjemy, co to było, chciałbym, żeby nie wchodzili państwo do kuchni. Nawet po herbatę. Trzeba tam wszystko sprawdzić. Zadzwoń do sierżanta Packera i od rana zaczniemy przeszukiwać kuchnię.

– Emma... – Pani Crammond zbladła. – Ona jest bardzo posłuszna. Sierżant Packer? Policja? Chyba nie sugeruje pan, że ją otruliśmy?

– Nie! – Niespodziewanie dla samego siebie zrobił coś, co było nie do pomyślenia w Sydney: uścisnął panią Crammond. – Sierżant Packer jest lepiej przygotowany do prowadzenia śledztwa niż ja. Szkolono go, na co należy zwracać uwagę w takich sytuacjach. Tylko dlatego o nim pomyślałem. Jutro Emma powinna udzielić nam wyczerpujących wyjaśnień, a teraz proszę zadzwonić do jej rodziców, a potem radzę się przespać. I proszę się nie martwić. – Ujął panią Crammond pod brodę, by spojrzeć mu w oczy. – Da się to zrobić?

Przytaknęła.

Jego ojciec w zadumie obserwował tę scenę.

– Czy sądzisz – zaczął niemal obojętnym tonem – że przez noc powinniśmy przy nich czuwać, gdyby się zatruli, a jako dorośli zareagują później? – Mówił to tak, jakby bezsenna noc nie stanowiła dla niego i Daisy najmniejszego problemu. Tak, on by się tego podjął, pomyślał Joss. On nosi serce na dłoni. Oby Daisy żyła jak najdłużej. Bo jeśli tak nie będzie...

Taka strata by go nie powstrzymała. Znowu by kogoś pokochał. On jest chodzącą miłością. Nagle, pierwszy raz w życiu, Joss zaznał uczucia zazdrości. Od śmierci matki o tej ojcowskiej potrzebie kochania myślał z pewną pogardą. Teraz zaś był zazdrosny. Powinien wziąć

zimny prysznic. Wrócić do domu. Do łóżka. Przez ścianę z Amy. Trudno.

Zaczerpnął głęboko powietrza.

– Na dzisiaj wystarczy nam wrażeń – oznajmił.
– Tato, nie musicie przy nich siedzieć. Połóżcie ich w jednym pokoju. Jeśli jedno źle się poczuje, obudzi to drugie. I na pewno obudzą was. Myślę, że gdyby się zatruli, już byśmy o tym wiedzieli. Odpręż się. Jedźcie spać.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wrócili do domu. Znowu zaczęło łać jak z cebra, więc Amy musiała skoncentrować się na prowadzeniu. Być może dlatego podróż upłynęła im w absolutnej ciszy. A może dlatego, że życie Jossa nagle nabrało nowego sensu? Czy również świat Amy uległ zmianie? Nie. Tylko on to czuje. I jest to bardzo głupie uczucie, skonstatował.

Milczeli z powodu tego, co się stało. Uratowali ludzkie życie. Życie dziecka.

Lecz ta radość nie była w stanie przyćmić tego dziwnego, nowego uczucia, które go ogarniało. Wydawało mu się, że życie pokazało mu swoje inne oblicze. Nie znał takiego życia. Nawet jeśli wiedział o jego istnieniu, uważał, że jest głupie.

Świat miłości.

Wjechali do garażu. Wybiegł im naprzeciw uradowany Bertram. To hałaśliwe powitanie sprawiło Jossowi ulgę. Od lat usiłował okiełznać spontaniczne reakcje swego towarzysza, lecz tej nocy jego szczekanie rozładowało napięcie.

Jakie napięcie? Skąd? On i Amy są pracownikami służby zdrowia, którym udało się pomóc małej pacjentce. Nie powinno być żadnego napięcia.

– Dobranoc, Joss. Dziękuję ci. – Nim się spostrzegł, ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała.

Było to delikatne muśnięcie. Pocałunek na dobranoc.

Czy jest jakiś powód, dla którego stoi jak idiota pośrodku wielkiego garażu i gapi się za nią, gdy ona już zniknęła w domu? Nie ma takiego powodu.

O świcie wyruszyli do domu dziadków małej Emmy.

– Jadę z tobą – oznajmiła Amy, gdy wyszedł ze swego pokoju. Jeszcze w nocy zatelefonował do sierżanta. Umówili się na siódmą rano. Była dopiero szósta, a Amy już miała na sobie dżinsy i obszerny sweter. Szykowała się do roli detektywa. – Co zabrać? – ustalała. – Mikroskop? Nie mam wytrychów, chociaż jestem pewna, że będą potrzebne. – Zamyślona popatrzyła na Bertrama, który nie spuszczał wzroku z jej grzanki. – Weźmiemy pasa? Może coś wywęszy?

– On nie jest psem, który węszy – ostrzegł ją Joss, sięgając po kolejną grzankę. Cholera, dlaczego jej grzanki są smaczniejsze? Udało mu się jednak skoncentrować na psie. – On jest psem, który je. Gdyby wywęszył truciznę, natychmiast by ją zjadł. Pożera wszystko, co znajdzie, wychodząc z założenia, że jeśli czegoś nie strawi, w każdej chwili może to zwrócić.

– Mądry piesek. – Podała Bertramowi kawałek grzanki, a on z wdzięcznością zademonstrował swój talent wytrawnego pożeracza, po czym zajrzał jej głęboko w oczy i pomachał ogonem. – Więcej nie dostaniesz. Musimy wziąć się do roboty. Czy sądzisz, że powinnam podnieść kołnierz w moim deszczowcu, jak w filmach kryminalnych?

– Gdyby kręcono je w Iluce, byłoby to nieodzowne – mruknął Joss, wyglądając przez okno, za którym lało jak z cebra. – Zdaje się, że utknę tu na kilka miesięcy.

– Mnie to odpowiada. – Stała odwrócona do niego plecami, wyjmując z tostera grzanki, więc nie mógł się

przekonać, czy powiedziała to poważnie, czy był to tylko gorzki żart.

Mieszkanie dziadków małej Emmy w niczym nie przypominało scenerii miejsca zbrodni. Było po prostu wygodnie urządzone lokum. Nic podejrzanego nie rzucało się tam w oczy.

Poprzedniego wieczoru przekazali Jossowi klucze i teraz policjant, Amy oraz Joss buszowali w kuchni.

– Szkoda, że nie wiemy, czego szukamy – narzekał sierżant Packer. – Czy podejrzewacie ich o posiadanie jakichś nielegalnych substancji? Heroina?

– Przyszło mi to wczoraj do głowy – przyznał Joss – ale heroinę bym wykluczył. Objawy jej przedawkowania są zupełnie inne. Ale może produkują amfetaminę.

– Crammondowie?! – oburzyła się Amy. – Chyba żartujesz!

– Nie ma pani pojęcia, kogo przyłapano na narkotykach – oznajmił sierżant, który otwierał różne pojemniki. Do każdego wkładał palec, po czym go obwąchiwał. – Jedna z naszych miejscowych staruszek miała poletko konopi. Odkryłem to dopiero, kiedy jej małżonek wkurzony, że wyrywa mu jego ukochane pomidory, zrobił taką piekielną awanturę, że sąsiedzi zadzwonili na posterunek.

– Tutaj? W Iluce? – Nie wierzyła własnym uszom. – Dlaczego to nigdy do mnie nie dotarło?

– Ponieważ zlałem wszystko środkiem chwastobójczym, a kobiecie nie kazałem wpłacić pewną kwotę na konto Armii Zbawienia z przeznaczeniem na program rehabilitacji narkomanów. Hodowała konopie na własny użytek. Podejrzewam nawet, że rzadko je paliła. Uznałem, że nie można skazywać jej na więzienie.

– No proszę, Iluka jako siedlisko grzechu – ucieszył się Joss. – Nawet by mi się nie przyśniło, że tutaj mogą dziać się podobne rzeczy.

– Dzieją się właśnie dlatego, że nic tu się nie dzieje – zauważył filozoficznie policjant. – Ludzie się nudzą.

– Ruja i porubstwo?

– Zdziwiłby się pan.

– A policja wszystko tuszuje?

– W miarę możliwości. Po co wywlekać różne brudy na światło dzienne?

Amy sprawdzała zawartość kredensu.

– A jeśli rzeczywiście produkują amfetaminę...?

– Musieliby mieć do tego aparaturę, a niczego takiego tu nie widzę. Poza tym na pewno byliby zdenerwowani, a nie byli. Bez oporów zgodzili się, żebyśmy przeszukali dom i garaż.

– Wiemy, czego szukamy?

– Nie.

– Fantastycznie.

Joss przeglądał pojemniki na blacie kuchennym. Podniósł właśnie pokrywkę cukiernicy. Całkiem bezwiednie położył sobie szczyptę cukru na języku. Znieruchomiał.

– Panie Packer...

Policjant ruszył w jego stronę. Zajrzał do cukiernicy.

– Cukier.

– Niech pan spróbuje.

– Po co? – Mimo to posłuchał Jossa. – Uch! Gorzkie. To nie jest cukier.

– Właśnie. – Joss w zamyśleniu wpatrywał się w podejrzane kryształki. – To nie jest cukier. Na deser był placek z jabłkami. Może to tym Emma posypała sobie

deser, myśląc, że to cukier? A dziadkowie woleli placek bez cukru?

– Co to może być? – zastanawiał się sierżant, grzebiąc palcem w tajemniczej substancji. – Trochę bardziej miążkawy niż cukier, ale tylko trochę.

– Może gdzieś jest opakowanie? – podsunął Joss, na co Amy rozpoczęła przegląd szafki. Znalazła do połowy opróżnioną torbę z cukrem. Otworzyła ją i spróbowała zawartości.

– Cukier.

– Co stoi obok? – Joss przyklęknął obok niej. Och, jak miło! Przestań, skup się na zadaniu. Lecz ona tak ładnie pachnie. Tak świeżo. Perfumy? Za słabo. Może mydło? Konwalie. Cudowny zapach.

Szafka kuchenna. Trucizna. Stary, opanuj się.

Jest! Biała torba z niebieskim napisem. Mniejsza od torby z cukrem. I bardzo wyraźne niebieskie litery.

– Co to jest „Peklo-Instant”? – zapytał Joss. Białe, krystaliczny proszek. – Co to jest?

– Używała tego moja mama – powiedział w zamyśleniu sierżant Packer, przejmując torbę od Jossa. – Do peklowania mięsa. Było wyśmienite.

– Ale co to jest? – denerwował się Joss.

Policjant uważnie oglądał opakowanie.

– Azotan sodu – przeczytał. – Doktorze, czy to może być to?

– Zdecydowanie. – Joss spoglądał to na opakowanie, to na cukiernicę. – Być może cukiernica była pusta i pani Crammond poprosiła Emmę o jej napełnienie.

– Powiedziała, że cukier jest w szafce pod blatem – podjęła Amy – a Emma sięgnęła po pierwszą z brzegu torbę.

– Nasza kryminalna zagadka rozwiązana – oświad-

czył Joss. – Szczęśliwie. Nie będzie pan musiał nikogo aresztować.

– Pojadę do pańskiego taty i powiem im, co znaleźliśmy. – Sierżant uśmiechnął się szeroko. – Spisali się państwo na medal. Niezła z was para.

Niezła z was para. Ta rzucona od niechcienia uwaga w uszach Jossa zabrzmiała jak ślubowanie. Bez powodu.

Amy wcale się nie przejęła.

– Wiemy o tym – odparła z szerokim uśmiechem. – Zamierzam namówić instytut meteorologii, by zrobił coś, żeby nie przestało padać.

– Popieram – rozpromienił się policjant. – Jeśli w ten sposób załatwimy Iluce lekarza, podpisuję się pod tym pomysłem obiema rękami.

– Dlaczego nie ma u was lekarza? – zapytał Joss.

– Nawet taka duża Bowra ma kłopoty z zatrzymaniem doktor Scott. W tym rejonie nie ma ani jednego specjalisty.

– Tutaj jest bardzo ładnie.

– Owszem – odparł sierżant z przekąsem. – Jedyne kawałek gruntu nie objęty zakazem budowy znajduje się pod domem opieki. Ojczym Amy zrobił nas na szaro, a my, durnie, w porę się nie połapaliśmy.

– Tak, poprosiłam ją, żeby nasypała cukru do cukiernicy – łkała pani Crammond. – Co mnie podkuśiło? Nie miałam pojęcia, że to taka straszna trucizna! A w naszym sklepie jest tylko świeże mięso, więc sami musimy je peklować.

Kolejny przykład na to, jak odizolowana od świata jest ta miejscowość, pomyślał Joss. Z powodu ojczyma Amy.

– W miasteczku powinno być sporo sklepów – zauważył.

– Tu nie ma działek budowlanych. – Amy potrząsnęła głową. – Ojczym postanowił obrzydzić życie wszystkim emerytom.

Im lepiej Joss poznawał Ilukę, tym bardziej intrygowała go ta miejscowość. Oraz ta dziewczyna z warkoczem. Pograżeni w myślach wracali do domu opieki.

– Kiedy wychodzisz za Malcolma? – spytał zniecierpliwiona, zatrzymując się przed szpitalikiem.

– O co ci chodzi? – Zerknęła na niego zaskoczona.

– O nic. – Uśmiechnął się zniewalająco. – Chciałem wiedzieć. Zamierzacie czekać sześć lat?

– Możliwe.

– Jak często się widujecie?

– Przyjeżdża tu co drugi weekend. Gdy jest most.

– Odwiedzasz go w Bowrze?

– Nie mogę opuszczać Iluki.

– W testamencie ojczym kazał ci tu mieszkać, ale nie zabronił stąd wyjeżdżać.

– Ale tu nie ma lekarza. – Rozłożyła ręce. – W kryzysowej sytuacji Mary i Sue-Ellen nie poradzą sobie we dwie.

– Ilu jest tu mieszkańców?

– Około dwóch tysięcy.

– W rejonie.

– Kiedy mamy most?

– Tak. Ile dusz mieszka w promieniu trzydziestu kilometrów?

– Dużo. – Zastanowiła się. – Gospodarstwa są niewielkie i blisko siebie. Mamy tu dużo opadów, więc mała farma bez trudu może wyżywić kilka osób.

– I wszyscy ci farmerzy w razie choroby jeżdżą do Bowry?

– Strasznie jesteście dociekliwy.

– Odpowiedz.

Popatrzyła na niego podejrzliwie.

– Częściej jeżdżą do Blairglen, ponieważ w Bowrze jedynym specjalistą jest Doris Scott.

– Blairglen jest ponad sto kilometrów stąd!

– Ludzie tam jeżdżą. Muszą.

Wyczuł w jej głosie niechęć. Może na to zasłużył? Całował ją, a ona jest wierną, skromną narzeczoną. Nic ją z nim nie łączy, a on ją pocałował. Miał ochotę zrobić to jeszcze raz. Zamiast tego tylko westchnął. Wysiadł z auta, obszedł je i otworzył jej drzwi. Ona na to spokojnie czekała. Jakby wiedziała, że to zrobi. Nie miała nic przeciwko temu dziwnemu rytuałowi, który jednak nasilał napięcie między nimi.

Ratunku! Kiedy przestanie padać? Kiedy ruszy prom? Jedyne droga ucieczki? Wolałby ją mieć, ponieważ nie był pewny, co się dzieje. Może nawet miał tę pewność, ale nie miał pojęcia, co z tym zrobić. Żyją w dwóch bardzo różnych światach i nie mogą ich opuścić.

Nadzwyczajnym wysiłkiem woli udało mu się jej nie dotknąć, gdy wysiadała. Amy jest bardzo praktyczną, ciężko pracującą pielęgniarką, myślał. Nie nosi kuszących kreacji. W tej chwili ma na sobie wytarte džinsy, bawełnianą bluzkę oraz zwyczajne mokasy. Żadna z jego znajomych nigdy w życiu tak by się nie ubrała. Więc dlaczego ma taką nieodpartą ochotę...? Na co? Wiedział doskonale, lecz nie chciał się do tego przyznać.

Dom opieki w Iluce coraz bardziej przypominał szpitalny oddział. Jeszcze nigdy nie panował tu taki ruch. Nawet na parkingu stało więcej samochodów niż

kiedyś. Było to jedyne miejsce w całym miasteczku, gdzie coś się działo, więc wszyscy chcieli brać w tym udział. Ci, którzy nie mieli tu kogo odwiedzać, zaglądali pod byle pretekstem, choćby spuchniętego palca. Może uda się namówić tego charyzmatycznego młodego doktora, by się nim zajął?

Charyzmatyczny młody doktor z każdą minutą coraz mniej rozumiał. Bertram wyskoczył z samochodu pierwszy. Zabrali go ze sobą, ponieważ dzień wcześniej widzieli, jaką ogromną radość sprawił wszystkim starszkom.

– Bertram! – zawołał uszczęśliwiony stary pan Waveny, władczy gestem przytrzymując psa za obrozę. – Chodź ze mną. – Uśmiechał się jak uczeń na wieść o odwołanej lekcji. – Marigold jest tutaj – zwrócił się do Amy. – Mówi, że chyba ma nadczynność tarczycy. Dzisiaj czuje się o wiele lepiej i wizyta Bertrama bardzo dobrze jej zrobi.

– Nie widzę żadnych przeciwwskazań – oświadczył Joss. Amy zaś nie mogła wyjść z podziwu.

– Joss, przysięgam, że jeszcze wczoraj ten człowiek miał trudności z przypomnieniem sobie imienia własnej żony.

– Psy potrafią tak działać na ludzi. Nie wiedziałaś o tym? – Patrzyli na starszka, który prowadził psa radośnie wymachującego ogonem. – Dogoterapia. To już zostało udowodnione. Czy mam ci zamówić kilka takich psów?

– Nie żartuj!

– Wystarczy jedno twoje słowo.

To ją rozbroiło. Uznała, że lepiej to przemilczeć. Słusznie, bo gdy otworzyli drzwi do świetlicy, buchnął stamtąd taki wrzask, że nikt niczego by nie usłyszał.

Odbywała się tam poranna kąpiel małej Ilonki, ku jej wielkiemu niezadowoleniu.

Pracowity dzień już się rozpoczął. Na powitanie Sue-Ellen poprosiła Jossa, by zatelefonował do rodziców Emmy, którzy odchodzili od zmysłów i domagali się, by o stanie zdrowia ich córeczki poinformował ich prawdziwy lekarz. Potem pielęgniarka wręczyła mu karty pacjentów. Całej piątki.

Jak cudownie, pomyślała Amy, gdy Joss zasiadł nad notatkami Sue-Ellen. Rozejrzała się po świetlicy. Trójka jej podopiecznych asystowała przy kąpeli, kilkoro innych przyglądało się tym ablucjom z wyraźną przyjemnością. Był wśród nich także Jock Barnaby, który od dwóch lat, czyli od śmierci żony, tylko wpatrywał się w podłogę! Niebывałe!

Co jeszcze? Członkowie klubu dziewiarskiego, pięć osiemdziesięcioletnich kobiet i jeden mężczyzna, prześcigali się, kto pierwszy skończy miniaturowy niebieski sweterek. Przez otwarte drzwi dostrzegła dwie starsze panie przy łóżku Emmy, z kolei Marie oraz Thelma krzątały się przy chorej na zapalenie płuc. Dom starców tętnił życiem.

Mogłoby tak być na co dzień, pomyślała. Gdybym miała tu na stałe lekarza. Co zrobić, żeby kogoś tu ściągnąć?

Nic z tego. Za kilka dni Joss wyjedzie i wszystko będzie po staremu. Właśnie, po staremu. Na razie musi wykorzystać sytuację. Rozejrzała się uradowana.

– Fantastycznie. Co pan na to, doktorze Braden?

– Tak, fantastycznie – mruknął. W całej rozciągłości zgadzał się z jej opinią. Naprawdę jest fantastycznie.

Emma szybko zdrowiała. Pani Coutts, ta z zapale-

niem płuc, wyglądała coraz lepiej i oddychała coraz swobodniej. Serce Marigold Waveny uspokoiło się po porządnie przespanej nocy. Joss wolałby najpierw zbadać jej krew, lecz był już prawie pewny, że prawidłowo zdiagnozował nadczynność tarczycy. Na łóżku starszej pani siedział jej małżonek oraz Bertram. Oboje przemawiali do niego niczym do pierworodnego, a on nie posiadał się ze szczęścia. Osiągnął błogi stan nirwany.

To bardzo dziwny szpitalny oddział, myślał Joss, przechodząc od jednego pacjenta do drugiego. Z trudem mógł się skoncentrować na poszczególnych przypadkach, chociaż powinien, ponieważ średnia wieku tutejszego personelu pielęgniarskiego wynosiła osiemdziesiąt lat.

Obecność Amy wcale nie była mu pomocna. Nie ukrywała zachwyty z powodu tego, co ujrzała, a jej śmiech i roziskrzony wzrok potwornie go rozpraszały. Ci ludzie ją kochają, lecz ona tu się marnuje. Gdzie by się nie marnowała? W kilkupiętrowym miejskim szpitalu?

Poradziłyby sobie, uznał. Jest bardzo dobrą pielęgniarką, inteligentną dziewczyną, która mogłaby zająć bardzo wysoko, gdyby miała możliwość się szkolić. Gdyby dano jej szansę, mogłaby pracować z nim jako lekarz. Ta myśl sprawiła, że poczuł się... dziwnie.

Wszystkie jego myśli są dziwne. Idiota! Zaczynało do niego docierać, że jeśli zostawi ją w Iluce, będzie to równoznaczne z porzuceniem jej. Bzdura. Jego miejsce nie jest w Iluce. W miasteczku emerytów nie warto otwierać prywatnej praktyki! Oszalałby po tygodniu. Podobnie jak Amy.

Amy go nie obchodzi.

Została mu jeszcze jedna pacjentka, młoda matka.

Dochodząc do drzwi jej pokoju, miał w głowie taki zamęt, że zupełnie się pogubił. Udało mu się odsunąć od siebie myśli na tematy osobiste. Badanie dziewczyny musi być przeprowadzone dokładnie i subtelnie, ponieważ minęła dopiero jedna doba od wypadku oraz operacji.

– Ty z nią porozmawiaj – powiedziała Amy. – Może powie coś więcej, jeśli wejdiesz do niej sam.

Amy jest wrażliwa i kompetentna, pomyślał. Taka kobieta zdarza się raz na milion. Amy nic mnie nie obchodzi, powtórzył sobie po raz dwudziesty tego przedpołudnia. Skoncentruj się na położnicy!

Stan fizyczny Charlotte nie budził zastrzeżeń. Joss zmienił jej opatrunek, po czym przysunął sobie krzesło bliżej łóżka. Dziewczyna rzuciła mu podejrzliwe spojrzenie.

– Nie zamierzam pani ugryźć – zażartował, na co ona uśmiechnęła się niepewnie.

– Ja nic nie mówiłam...

– Ale krzywo pani na mnie patrzyła. – Wcześniej poprosił, by przyniesiono jej dziecko. Teraz przyglądał się maleństwu. – Ilona... to bardzo ładne imię. Ilonka jest śliczna.

– Mhm.

– Czy Ilonka ma nazwisko?

– Jeszcze nie zdecydowałam.

– Nie wie pani, czy wybrać swoje, czy jej ojca?

– Charlotte przytaknęła. – Zdradzi mi pani swoje nazwisko? – Znał je dzięki sierżantowi Packerowi, ale wolał, by sama mu je wyjawiała. Nie chciał, by domyśliła się, że policja przeprowadziła w jej sprawie śledztwo. Ponieważ milczała, wziął ją za rękę. – Nie wiem, przed czym pani ucieka – rzekł półgłosem – ale na pewno nie oddam pani w ręce policji.

- Ja nie uciekam. Nazywam się Charlotte Brooke, ale... nie chcę, żeby pewne osoby...
- I dlatego pani się tu znalazła?
- Tak.
- Potrzebuje pani czasu do namysłu?
- Tak. – W jej głosie zabrzmiała wdzięczność.
- Wiem, że to komplikuje... na przykład sprawę mojego ubezpieczenia.
- Zajmiemy się tym, kiedy będziemy panią wypisywać – zapewnił ją. – Ma pani czas na zastanowienie.
- Doktorze, nie powie pan Amy?
- Zdziwił się. Amy jej nazwisko nic nie mówiło.
- Czy to przed nią pani się ukrywa?
- Nie. Ale nic jej pan nie powie?
- Obiecuję. – Nic nie pojmował.
- Staram się, żeby było jak najlepiej.
- Wszyscy usiłujemy tak postępować. – Patrzył na jej spracowane dłonie. Dostrzegł nawet ślady ziemi pod paznokciami. Nie nosiła żadnego pierścionka. – Charlotte, jeśli potrzebuje pani pomocy...
- Już mi pan pomógł. Urodził pan moje dziecko.
- To zaśluga Amy.
- Właśnie. – Westchnęła. – Dawniej wydawało mi się to takie proste, ale teraz...
- Teraz jest inaczej?
- Odwróciła głowę.
- Myślę, że teraz to jest niemożliwe.

- Powiedziała ci, jak się nazywa? – dopytywała się Amy, gdy zamknął za sobą drzwi.
- Tak.
- Ale nadal jest tajemnicza?
- Skąd wiesz?

– Czytam w twoich myślach.

Oczy jej się śmiały. Ma takie niepokojące oczy. Roztańczone, pomyślał.

– Powiedziała mi, jak się nazywa i poprosiła, żebym to zachował dla siebie. Zgodziłem się. Oznacza to, że na razie nie możemy wysłać do ubezpieczyciela rachunku za jej pobyt. Obiecała, że przed wyjazdem udostępni nam swoje dane.

– Dziwne.

– Owszem.

– Zgodziłeś się? – Popatrzyła na niego przeciągle, po czym się uśmiechnęła. – Jesteś bardzo sympatycznym facetem.

– Wiem o tym.

– Oraz bardzo skromnym.

– Nie przeczę.

– Zgłosiłam twoją kandydaturę na czwartego do brydża.

Zamurowało go.

– Nie wierzę – mruknął.

– Ktoś musiał to zrobić – rzuciła beztróskim tonem.

– Moi dziadkowie twierdzą, że brydż jest rozrywką osób inteligentnych, więc czy ja, skromna pielęgniarka, mogę się równać z panem doktorem?

Skromna pielęgniarka. Dobre sobie.

– Planowałem...

– Miałeś jakieś plany? – Przeszyła go wzrokiem.

– Referat.

– Będiesz miał na to całe popołudnie. Oraz cały wieczór. I jutrzejszy poranek i... – Joss zamachał rękami. – Tutaj czas płynie bardzo wolno. Nie zauważyłeś?

– Zauważyłem, ale...

– Znowu zaczynasz? – Uśmiechnęła się promiennie.

– Do brydża, doktorze! – Wskazała mu drogę do świetlicy. Przez oszklone drzwi ujrzał przy stoliku trzy wiekowe damy.

Dostrzegły go i entuzjastycznie do niego pomachały.

– Wrobiłaś mnie.

– Tak. Jesteś już po obchodzie. Ponadto komuś jesteś coś dłużny za wikt i opierunek. Musisz się zrewanżować.

Musi się zrewanżować. Myślał o tym podczas przyspieszonego kursu brydża towarzyskiego, a także później, gdy zabrał Lionela i Bertrama na spacer w deszczu. W trakcie przechadzki staruszek opowiedział mu bardzo długi i zawiły dowcip na temat choroby Alzheimera. Cztery razy.

Potem osłuchał serce Marigold i zmienił dawkę leku, oraz ponownie zbadał płuca Rhondy. To wszystko. Trudno to nazwać ciężką pracą. Amy była zajęta przez cały dzień, głównie sprawami administracyjnymi. Dooglądała posiłków rozwożonych do domów ludzi starszych. Załatwiała setki spraw, z którymi borykali się jej leciwi sąsiedzi. Marnuje się w tej dziurze, ale nie warto jej o tym mówić.

Cały ten układ to jedna wielka pułapka, orzekł Joss. Amy jest w sytuacji bez wyjścia. On za kilka dni wyjedzie, a ona weźmie ślub z Malcolmem i zostanie tu do końca życia.

W tym marazmie.

Druga połowa dnia upłynęła mu na budowaniu latawca z Lionelem. Marzył, by przestało padać, ponieważ miał wielką ochotę go puścić. To był naprawdę wspaniały latawiec.

Zastanawiał się, co by teraz robił w Sydney. Miał naturę pracocholika. Sobotnie wieczory zajmował mu nieprzerwany ciąg ofiar różnych wypadków. Gdy opuszczali salę operacyjną, już nigdy więcej nie miał okazji ich oglądać. Nie dawało się to w żaden sposób porównać z tym, co robił tutaj: zabawiał staruszką rozmową o psach i latawcach. Nie do wiary.

Lecz to też mieści się w pojęciu leczenia. Czy byłby szczęśliwy, żyjąc w ten sposób? Nie. Potrzebował bardziej spektakularnego lecznictwa. Całego zespołu lekarzy.

Iluce trzeba tego samego!

Amy nie wybierała się do domu. Po co? W domu opieki wrzało, wszyscy byli uśmiechnięci i zadowoleni. Jej własny dom, nawet umeblowany, nie był tak atrakcyjny.

Bertram udał się sam na długi spacer, z którego wrócił cały mokry. Gdy Kitty rozpałała ogień na kominku, ułożył się przed nim i zadowolony z siebie zaczął parować. Thelma i Marie namówiły Jossa do gry w madżonga.

Gdyby tydzień wcześniej ktoś powiedział Jossowi, że taki dzień uzna za udany, kazałby mu popukać się w czoło. A teraz robił latawce, grał w brydża oraz madżonga, wpatrywał się w ogień na kominku, podziwiał zaróżowione policzki Amy...

Jego świat przewracał się do góry nogami, a on nie wiedział, jak temu zapobiec. Nie był nawet pewien, czy mu na tym zależy.

Pod wieczór przyjechał ojciec z Daisy, aby zabrać go do siebie na kolację.

– Nie możesz nadużywać gościnności Amy – tłum-

czył ojciec, a on czekał, aż Amy zaprotestuje. Lecz tego nie zrobiła.

Wcześniej, już po południu, odniósł wrażenie, że spochmurniała. Zauważył, że go obserwuje.

– Amy... – zaczął, nim ruszył za ojcem.

– Joss, nie mam prawa ograniczać twoich kontaktów z rodzicami. Masz klucz do domu. Jestem dzisiaj bardzo zmęczona. Pewnie, gdy wrócisz, będę już spała.

Cholera.

Gdy obudził się następnego ranka, Amy już nie było. Na kuchennym stole zostawiła mu kartkę. „Życzę owocnego pisania referatu. W razie potrzeby zadzwonię, ale jeśli nic się nie wydarzy, będziesz miał cały dzień dla siebie”.

Hm. Wcale o tym nie marzył. Nie zostanie w tym pustym gmaszysku, bo zwariuje. Pojechał do domu opieki. Aby zajrzeć do pacjentów, wmawiał sobie, chociaż doskonale wiedział, że nie tylko po to. Chciał zobaczyć Amy.

Niedziela dłużyła mu się w nieskończoność. Amy nigdzie nie mógł znaleźć. Ile jest pomieszczeń w tym cholernym domu?!

Deszcz ustawał, lecz nadal wiał silny wiatr. Chodziły słuchy, że jak tylko przestanie wiać, ruszy prom.

Może już jej nie zobaczy? Dlaczego go unika?

Amy chodziła jak podminowana. Gdzie się nie ruszyła, wszędzie był Joss. Nie ma takiego drugiego mężczyzny. Ani tak rozbrajająco wesołych oczu czy zaraźliwego śmiechu. Potrafił rozweselić jej zgrzybiałych staruszków: pierwszy raz widziała ich tak

ożywionych. Wszyscy, co do jednego, znajdowali jakiś powód, by znaleźć się w świetlicy.

Miała kilku podopiecznych, którzy woleli samotność. Źle czuli się w domu opieki, co okazywali, zamykając się w swoich pokojach. Ale nie teraz. Nie w obecności Jossa i jego szalonego, rozbrykanego setera. Można by pomyśleć, że dzięki nim wszystko jest możliwe. Że wydarzy się coś ciekawego.

W Iluce nie dzieje się nic ciekawego, pomyślała z żalem. Usiłowała sobie wyobrazić, jakimi sposobami po jego wyjeździe mogłaby podtrzymywać w sobie ten optymizm. Nic nie przychodziło jej do głowy. Ciekawe rzeczy dzieją się poza Iluką.

Myliła się.

– Amy, motorówka rozbiła się o skały. – W słuchawce rozległ się głos Jeffa Packera.

– Co takiego?!

– Jakiś idiota w motorówce chciał wejść do portu! Przy tym wietrze! Prawie mu się udało, ale rzuciło go na skały. Wiem o tym od Toma Connera, który akurat próbował wędkować z pomostu. Mówi, że w wodzie ktoś pływa. Przyjedziesz?

– Joss...

– Mhm? – Właśnie podziwiał robótkę jednej ze starszerek i czuł, że jeszcze chwila, a zwariuje. – Problem?

– Prawdopodobnie utonięcie. Pojedziesz ze mną?

ROZDZIAŁ ÓSMY

Gorzej być nie mogło, pomyślał, gdy znaleźli się na miejscu. Wejście do portu stanowił skalisty korytarz wytyczający ujście rzeki. Przy dobrej pogodzie ruch w obie strony nie nastroczał większych trudności, lecz nie był to port rybacki. Korzystali z niego wyłącznie w lecie milionerzy w luksusowych jachtach. Przed zimą odpływali w cieplejsze rejony Queenslandu, by tam oddawać się rozrywkom.

Teraz port był pusty. Nie bez powodu. Przestało wprawdzie padać, ale nadal wiał porywisty wiatr. U wejścia kłębiły się wysokie fale. Od czasu do czasu, gdy się cofały, woda wygładzała się nieco, lecz działo się to bardzo nieregularnie. Po obu stronach szczyrzyły się poszarpane zęby skał, ostrzegając naiwnych śmiałków.

Na pomoście zastali sierżanta Packera oraz Toma Connera. Obaj byli zdenerwowani.

– Zawiadomiłem straż przybrzeżną w Bowrze – relacjonował policjant. – Sprawa jest, moim zdaniem, beznadziejna. Tam nie dopłynie żadna łódź, a śmigłowiec będzie za kilka godzin.

– Gdzie jest ta motorówka? – Amy wpatrywała się w spienioną kipieli. Gdy w końcu ją dojrzała, z przerażenia ją zamurowało.

Pośrodku wejścia do portu sterczała skalista wysepka, którą trzeba było opływać z prawej lub lewej strony. W normalnych warunkach było to zaledwie irytujące

utrudnienie. Gdyby z portu korzystały rybackie kutry, zapewne już dawno by ją wysadzono.

– Prawie mu się udało – lamentował Tom. – Widziałem, jak tam podchodził, wrzeszczałem, żeby zawracał, ale mnie nie słyszał. Potem przyszła większa fala i cisnęła nim jak zabawką. Myślałem nawet, że przeszedł, ale cofająca się fala z całej siły ściągnęła motorówkę na skałki. On tam jest!

Połowa pogruhotanej motorówki zahaczyła się o skałę, druga połowa była pod wodą. Co chwila od wraku odpadały płyty czerwonego poszycia wyszarpywane przez rozwścieczony żywioł. Na skałkach ktoś leżał.

– Nie rusza się... – Stary wędkarz był bliski łez.

Ciało na wysepce bardziej przypominało bezwładną szmacianą kukłę w żółtym ubraniu niż człowieka. Gdy załała je kolejna fala, przerazili się, że je zmyje.

Jednak tkwiło tam nadal. Zaklinowało się.

– Cholera – wyrwało się Jossowi, lecz ten niewybredny okrzyk dobrze oddawał to, o czym wszyscy myśleli. Od wysepki dzieliło ich dwieście metrów. Jak się tam dostać?

– Utonie, zanim przyleci śmigłowiec – zawyrokował sierżant Packer przez ściśnięte gardło. – O ile jeszcze żyje.

– Czy tylko on był w motorówce? – zapytał Joss.

Tom Conner przytaknął.

– Ta łódź nie miała kabiny, a on stał przy sterze. Gdyby była tam druga osoba, na pewno bym ją zobaczył.

Amy bezwiednie zasłoniła usta dłonią, gdy nowa fala zachwiała topielcem.

– Nie mogę na to patrzeć – szepnęła.

– Potrzebna nam będzie lina – oznajmił Joss.
– Lina? – Policjant ochłonał pierwszy. – Wykluczone. Tu nie da się pływać. Prąd jest taki silny, że ściąga na dno.

– Nie mam zamiaru pływać – warknął Joss. – Znajdzie pan pięćset metrów liny oraz gumowy ponton? Potrzebni nam też będą wszyscy, którzy mają choć trochę siły. Ile rodzin mieszka po drugiej stronie?

– Kilka gospodarstw.

– Niech się pan z nimi skontaktuje i każe im stanąć na brzegu. Amy, sprowadź Lionela. Z największym latawcem.

– Latawiec? Ale...

– Ale co? – Zmierzył ją groźnym wzrokiem.

– Wiatr jest z południowego wschodu – zaczęła z namysłem. – Przeniesie latawiec na drugi brzeg. Można by do niego przyczepić linę. – Pomimo dramatyzmu sytuacji ucieszyła się, że w akcji weźmie udział latawiec pana Waveny. Staruszek będzie w siódmym niebie. Jeśli plan okaże się wykonalny.

– Czy latawiec uniesie taki ciężar? – zastanawiał się sierżant Packer.

– Z pewnością. Lionel twierdzi, że duży latawiec skrzynkowy może unieść człowieka. Przy takim wietrze...

Nareszcie mają jakiś plan. Lepsze to niż bezradne przyglądanie się, jak ciało ofiary powoli zanurza się w wodzie.

– Do roboty!

Niezwykłą zaletą mieszkańców Iluki była ich gotowość do mobilizacji. Pogoda była parszywa, więc wszyscy siedzieli w domu. Wystarczył jeden telefon do

centralki telefonicznej, by w ciągu dziesięciu minut Joss miał do dyspozycji tyle lin, że wystarczyłoby ich na ogrodzenie małego państwa, trzy gumowe pontony, gigantyczny skrzynkowy latawiec wraz z konstruktorem oraz po kilkunastu mężczyzn i kobiet na obu brzegach.

– Ile udźwignie ten latawiec? – spytał Joss Lionela.

Starzec podrapał się po nieogolonej brodzie, po czym spojrzął na niebo. Nie wyglądał na ofiarę Alzheimera.

– Przy tym wietrze? Myślę, że i mnie by uniósł.

– Na to liczę. – Joss uśmiechnął się. – Nie, nie zamierzam latać. Ale bardzo zależy mi, aby udźwignął jak najwięcej.

Kilka minut zajęło im powiązanie lin. Przez ten czas ich myśli biegły ku skalistej wysepce. Czy on jeszcze żyje?

– Chyba się rusza. – Ktoś podał Amy lornetkę. – Wydaje mi się, że się poruszył.

– Wobec tego próbujemy – oznajmił Joss, kończąc ożywioną wymianę zdań z Lionelem, któremu nagle ubyło lat.

– Jak wy to zrobicie?

– Zaraz zobaczysz. Ułożyliśmy z Lionelem niezły plan – oświadczył. – Tak mi się przynajmniej wydaje.

Wypuszczenie latawca przy takim wietrze nie stwarzało trudności. Ruszył pod niebo błyskawicznie, pociągając za sobą zwoje liny, jakby to był zwykły sznurek. Lionel kurczowo trzymał cieńszą linkę, jakby potrzebował kotwicy. Koniec grubszej liny przywiązali do pobliskiego głazu. W tak wietrzną pogodę wszyscy trzymający ją mogliby nagle wyruszyć w podniebną podróż do samego Sydney.

– Co zrobicie, żeby lina spadła na ziemię? – zaintereso-

sowała się Amy, gdy latawiec już szybował nad głowami ekipy na drugim brzegu.

Lionel ruchem głowy wskazał na cieńszą linkę w swojej ręce. Amy spostrzegła, że linka tworzy ogromną pętlę.

– Wystarczy pociągnąć, i spadnie – odparł bez wahania.

Patrzyli z zapartym tchem. Lionel pociągnął za linkę i w tej samej chwili uwolniony latawiec pognął w świat, za to obie liny opadły na ziemię na drugim brzegu.

W ten sposób powstał most linowy.

– Teraz, gdy mamy linkę nad wysepką, powinienem się dostać do tego faceta – stwierdził Joss ku przerażeniu Amy. – Nie, nie metodą Tarzana. Jestem odważny, ale nie głupi. Przyczepię ponton linką do liny głównej. Sam też owinę się linką, która będzie przymocowana do pontonu. Ta cieńsza linka, którą trzymał Lionel, jest pętlą. Po niej będę się przesuwiał. Gdy dotrę do wysepki, wciągnę tego nieszczęśnika do pontonu i też go przywiążę. To proste.

– A jeśli wpadniesz do wody?

– Już ci mówiłem, że będę przywiązany do głównej liny oraz do pontonu. W najgorszym razie wrócę do was, zwieszając się z liny. Ale wolałbym wrócić pontonem.

– A ja wolałabym, żebyś tu został.

– I pozwolił, żeby ten facet się utopił? Nie ma mowy.

– Spoglądając w jej szeroko otwarte oczy, poczuł, że coś sobie powiedzieli. Ale co?

Nie odrywał wzroku od jej twarzy. Trwało to tak długo, że nawet nie zauważył, jak czyjeś ręce opasują go linką.

– Uda mi się.

– Mam nadzieję – mówiła przez ściśnięte gardło.

Ona się o mnie boi, pomyślał. Jeśli przypadła mu rola dzielnego bohatera, to chyba ma prawo pocałować tę słodką dziewczkę? Prawdę mówiąc, wcale nie rwał się do bohaterskich czynów. Ale nie miał wyjścia. Lada moment woda ściągnie tego człowieka w otchłań. Wokół Jossa kłębiła się gromada siedemdziesięciolatków, nawet policjant był po sześćdziesiątce. Był od nich młodszy o trzydzieści lat.

Wiedział też, że jeśli nie on, to zrobi to Amy. Ta dziewczyna już się przyzwyczaiła do dźwigania spraw świata na swoich barkach. Nie miał wyboru.

Pocałował ją. Szybko i namiętnie, jakby w ten sposób chciał zarzucić kotwicę. I jakby chciał nadać sens temu, czego się podjął. Miesiąc wcześniej rzucanie się do morza, by ratować kogoś, kto zapewne już nie żyje, uznaliby za szaleństwo. Lecz czuł na sobie wzrok Amy. Przyjęła jego pocałunek, chociaż może nie sprawił jej przyjemności, lecz się go spodziewała. Joss miał absolutną pewność, że gdyby się wycofał, ona wsiałaby do pontonu. Kocha ją?

Nie pora na takie szalone rozważania. Teraz musi od niej odejść i zaczepić linkę w pasie do liny przerzuconej w poprzek rzeki. Czekali na niego.

– Do roboty. – Piekelnym wysiłkiem woli odsunął się od niej. Pogładziła go po policzku.

Przez całe życie na każdym kroku musiała podejmować trudne decyzje i jak mało kto wiedziała, że Joss nie ma wyboru. Mogła teraz tylko stać na brzegu i patrzeć.

Przymocowano ponton do grubszej liny, by prąd nie ściągał go z kursu, oraz do pętli z cieńszej linki, która służyła zebranych na obu brzegach do przeciągania pontonu. Metr po metrze Joss zbliżał się do wysepki.

Z każdą falą zatrzymywał się, by łódka się nie wyróciła. Kilka razy znikał pod wodą, lecz zawsze się wynurzał. To był bardzo dobrze obmyślony plan: ludzie na brzegach pilnują kursu pontonu, a on jest przywiązany do łodzi oraz głównej liny. Ma szansę dotrzeć na miejsce. Do niego należy utrzymanie pontonu na wodzie.

Amy obserwowała jego zmagania ze ściśniętym gardłem. Na brzegu panowała śmiertelna cisza. Wśród zebranych był też ojciec Jossa. Należał do zespołu kierującego pontonem. Daisy z kolei przyłączyła się do grupy trzymającej linę główną. Przyjechali dziadkowie Emmy, Margy i Harry Crammondowie. Amy doliczyła się również co najmniej ośmiu podopiecznych.

Mimo że mają tyle krzyżyków na karku, zawsze są chętni do pomocy. Kochani staruszkowie. Gdy znowu popatrzyła na bezlitosną kipiel, pośrodku której kołysał się ponton z Jossem, po raz kolejny dotarła do niej absurdalność ścieżek, po których błądzą jej myśli. Zakochuje się. Nie, już się zakochała! Lecz to jest bez szans.

Musi zostać w Iluce. Z tymi ludźmi. Miejsce Jossa jest gdzie indziej. Nie tutaj. Joss nie jest jej mężczyzną. Ale ona go kocha!

Myślał tylko o tym, by utrzymać się na powierzchni. By przeżyć. Nie był w tym osamotniony. Ludzie na obu brzegach dokładali wszelkich starań, by precyzyjnie doprowadzić go do skalistej wysepki. Był sam, ale nie sam.

Mają drugą łódkę. Gdyby go zmyło, zastąpi go ktoś inny. Może Amy? Nie! Musi dotrzeć do wysepki.

W końcu znalazł się tam. Ponton oparł się o skały

akurat w chwili, gdy fale się cofały. Operatorzy lin idealnie wymierzili czas! Odpiął linę i stanął na skrawku ładu. Ponton natychmiast odpłynął. Na ułamek sekundy Joss zmartwił ze strachu, lecz tylko na moment. To jasne. Musieli go odciągnąć, by nie podziurawił się na kamieniach. Zachwiał się pod naporem nowej fali. Ukląkł, by przytrzymać się skalnego występu. Gdy woda spłynęła, rozejrzał się i podpełził do ofiary. Człowiek poruszył się i jęknął. Żyje!

Ledwie, ledwie. Miał mętne, błędne spojrzenie. Był na granicy utraty przytomności. Joss szybko dokonał oględzin. Facet oddychał płytko i z trudem. Aby sprawdzić drożność dróg oddechowych, delikatnie ułożył go na boku. Taka ostrożność była wskazana w przypadku ewentualnego uszkodzenia kręgosłupa. Głupio byłoby złamać człowiekowi kark przy oczyszczaniu dróg oddechowych. Widząc katem oka naciągającą fałę, ustawił się tak, by wziąć na siebie jej uderzenie, dzięki czemu mężczyzna miał głowę nad powierzchnią wody. Znowu jęknął.

– W porządku, stary. Leż spokojnie.

Nie zareagował. Był w wieku Jossa, po trzydziestce. Na wierzchu miał gumową kurtkę i spodnie, lecz pod spodem białą koszulę i markowe spodnie. Teraz już nie były ani czyste, ani eleganckie. Na pewno nie był rybakiem. To oczywiste. Żaden rybak nie wsiadłby do łodzi w taką pogodę.

Dzięki temu, że Joss osłaniał głowę mężczyzny przed naporem wody, ten zaczął oddychać głębiej. Nawet nabierał kolorów. Joss zmierzył mu ciśnienie i tętno. Skąd to niskie ciśnienie? Krwawi?

Przed chwilą jęczał, co oznacza, że odzyskuje przytomność. Co jeszcze? Pospiesznie obmacał głowę i tors.

Na czole spory wylew, ale czaszka nieuszkodzona. Przesunął dłonie niżej. Przez rozdarte gumowe spodnie na wysokości kolana sączyła się krew. Uniósł kończynę i w tej samej chwili poczuł pod palcami uderzenie strumienia krwi. Niedobrze.

Skoro facet oddycha, priorytetem jest noga. Nałożył opaskę uciskową i porządnie ją umocował. Pod nogą zobaczył wielką czerwoną plamę. Facet stracił mnóstwo krwi...

Tutaj nic więcej nie robi. Ociekając wodą, szukał innych obrażeń. Jedna noga wydała mu się znacznie krótsza. Przyjrzał się lepiej. Tak, bez wątplenia. Kość biodrowa jest pęknięta lub uległa przemieszczeniu. Lub jedno i drugie.

Tutaj nic nie działa. Potrzebna jest pomoc. Ortopedy? Anestezjologa? Amy. Pomoc Amy to już coś. Powędrował wzrokiem na brzeg rzeki. Stała tam w jasnoniebieskim płaszczu przeciwdeszczowym. Jej widok dodał mu sił. Teraz wraz z rannym musi się ewakuować z tej cholernej wysepki.

Usłyszał jego przyspieszony oddech. Mężczyzna powoli podnosił powieki. Próbował się podnieść.

– Spokojnie. Nic panu nie jest.

No może trochę przesadził. Ale coś należy powiedzieć pacjentowi, by dodać mu otuchy.

– Co się stało...?

– Miał pan mały wypadek. – Mały wypadek. Jakie zgrabne niedomówienie! – Pańska motorówka roztrzaskała się o skały.

– Kim pan...?

– Nazywam się Joss Braden. Jestem lekarzem z Iluki.

– Malcolm – przedstawił się. Nagle w jego oczach Joss dostrzegł potworne cierpienie. Malcolm zemdłał.

Malcolm? Ten Malcolm? Narzeczony Amy?

Zemdlał z bólu. Zapewne z powodu nogi, bo oddycha prawidłowo, pomyślał. Czeką go najtrudniejsze zadanie: przeniesienie nieprzytomnego Malcolma do pontonu. W tym stanie nie zareaguje na ból.

Obwiązał go liną, robiąc z niej coś w rodzaju upręży, po czym przyczepił ją do liny głównej. Gdyby ponton się wywrócił i Malcolm by z niego wypadł, zawisnie głową do góry, a on, Joss, będzie w stanie wciągnąć go z powrotem. Lepiej jednak, by nie było to konieczne.

Teraz należy przenieść bezwładne ciało. Nigdy w życiu tak się nie zmęczył. Kilka razy pośliznął się, boleśnie objając się o kamienie. Rozwaliłem sobie nogę, pomyślał w pewnej chwili, czując znamienne ciepło krwi ściekającej wzdłuż łydki.

W końcu ułożył Malcolma na podłodze pontonu. Odpychał się od nieprzyjaznych skał z walną pomocą ludzi na obu brzegach. Zastanawiał się, czy nie powinien dać znaku ekipie od strony Bowry, by przyciągnęli ich na swój brzeg. Tam są specjaliści oraz karetka, która zawiozłaby Malcolma do szpitala w Blairglen. Do chirurgów ortopedów, których jego pacjent potrzebował najbardziej.

Lecz po tej stronie jeżyły się liczne skały i skałki, nad powierzchnią wody i poniżej. Widział, jak trudno byłoby manewrować liną wśród tych zdradliwych pułapek. Co by się stało, gdyby nadziała się na nie ta gumowa łądka? Nie, nie tędy droga. Od strony Iluki jest o wiele bezpieczniej.

Czy to znaczy, że dobrowolnie wraca do więzienia? Do Amy. Zgoda. Podniósł rękę, że jest gotowy.

Ta obiektywnie krótka podróż była prawdziwym

koszmarem, lecz udało mu się wytrwać. Bezwładne ciało Malcolma na dnie łódki trochę ją stabilizowało. Jednak gdy zalewała ich fala, Joss za każdym razem musiał się nad nim pochylić, by sprawdzić, czy oddycha. Nie po to tyle ryzykował, by teraz ten człowiek się utopił!

Dopływali do skalistego brzegu w porcie. Kilku mężczyzn już schodziło po kamieniach. Kilka par rąk wyciągało się, by pochwycić ponton. Były to ramiona starców, lecz jakże chętnych do pomocy. Amy była wśród nich.

Pomagała wysiąść mu na brzeg. Trzymała go o ułamek sekundy dłużej, niż to było potrzebne. Ten moment uprzytomnił mu, jak bardzo się o niego bała. Amy. Jego przystań.

Lecz ona już spoglądała na mężczyznę na podłodze pontonu, a jej oczy robiły się coraz większe i większe.

– Malcolm?

– Jak najszybciej trzeba go przetransportować do domu opieki – mówił Joss, pomagając wynieść ponton na nabrzeże. – Konieczne jest prześwietlenie stawu biodrowego. Co ze śmigłowcem?

– Za silny wiatr – odparł sierżant Packer. – Może za kilka godzin...

– Za długo. Amy, nie unikniemy operacji. Chcesz...? Wzięła głęboki wdech.

– Oczywiście.

– Amy... – Malcolm na przemian odzyskiwał i tracił przytomność. Gdy załadowali go do policyjnego wozu Packera, Joss zaaplikował mu morfinę, lecz w przypadku zwicnięcia stawu biodrowego było to zdecydowanie za mało.

Gdy ujęła dłoń rannego, Joss poczuł dziwne ukłucie. Zazdrość? Na pewno nie! Nie ma żadnego powodu do zazdrości. Ten facet jest jej narzeczonym. I ma pełne prawo trzymać ją za rękę. Nawet jeśli posiada mózg mniejszy od ptasiego.

– Coś ty tam robił?! – dopytywała się.

Joss pogrążył się w zadumie. Może i ona pomyślała o ptasim mózdzku? Poczuł perwersyjną satysfakcję.

– Chciałem zobaczyć się... – szepnął Malcolm.

– Jestem przy tobie. – Odgarnęła mu z czoła jasne włosy. Całkiem przystojny, pomyślał Joss.

Amy nie pokochałaby brzydala.

– Już dostałeś zastrzyk przeciwbólowy.

– Moja noga...

– Zajmiemy się nią. Zamknij oczy i spróbuj zasnąć.

Gdy Joss wyjeżdżał na szosę, Malcolm rozważał tę propozycję, po czym nagle szerzej otworzył oczy.

– Rozbiłem motorówkę.

– Mhm.

– Co... ty tu robisz?

– Jesteś w Iluce. Chciałeś wpłynąć do portu, pamiętasz?

– Tak. Chciałem... chciałem zobaczyć...

– Nie myśl o tym. – Otarła mu krew z czoła. – Masz uraz nogi. Odpocznij teraz. Pomożemy ci zasnąć.

Joss z ulgą przełączył się na tryb medyczny. W trakcie akcji ratowniczej był tak skołowany, że trudno było mu skoncentrować się na najprostszych czynnościach. Gdy zatrzymał się pod szpitalem, poczuł się jak w domu.

Nie, to nie jest szpital. To jest dom starców. Lecz jeśli dalej tak pójdzie, trzeba będzie wystąpić o dwadzieścia nowych łóżek specjalnej opieki. Porodówka, ortopedia, pediatria...

Szpital Opieki Podstawowej w Iluce. Całkiem ładna nazwa. Może trochę zwariowana. Joss usilnie starał się myśleć o czymkolwiek, byle nie o tym, że Malcolm ściska dłoń Amy.

Prawdę mówiąc, odchodził od zmysłów.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W domu opieki skoncentrowali się na sprawach związanych z leczeniem. W roli lekarza Joss zawsze czuł się bardzo dobrze. Gorzej radził sobie z relacjami międzyludzkimi.

Na przykład w układzie z Amy.

Jej podopieczni ponownie ruszyli do akcji, a on nie miał już wątpliwości, że całemu temu niezwykle zespołowi ratownictwa medycznego sprawia to ogromną satysfakcję. Dramatyzm sytuacji wyzwolił w nich nowe siły. Być może za tydzień znowu będą zgrzybiałymi staruszkami, lecz teraz czuli się potrzebni i od dawna nie byli tacy szczęśliwi. Wynieśli Malcolma z auta sierżanta Packera z taką samą wprawą, jak dwa dni wcześniej rodzącą Charlotte.

Marie przytrzymała Jossa za ramię.

– Doktorze, pan broczy krwią. Proszę iść ze mną. Założę panu opatrunek, zanim zacznie się pan zajmować innymi.

Rozbawiony apodyktycznym tonem starszej pani pozwolił opatrzeć sobie nogę, by nie zaplamić wykładziny, po czym dołączył do Amy, która ustawiała aparat rentgenowski.

Tutaj wszystko funkcjonuje jak w zegarku, pomyślał. Szkoda, żeby to miejsce znowu stało się zwyczajnym domem starców. Na razie jest to oddział traumatologiczny. Skupił się na zdjęciach obrażeń Malcolma.

Na szczęście czaszka była nienaruszona. Gorzej wyglądał staw biodrowy. Na skutek zderzenia ze skałą kość udowa wyskoczyła z panewki, która dzięki Bogu była cała. Na pewno został uszkodzony nerw kulszowy, który będzie dawał o sobie znać co najmniej przez kilka miesięcy. W tej chwili należy jak najszybciej ustawić kość udową w panewce, by zapobiec nieodwracalnym zmianom.

– Czy już możliwa jest ewakuacja śmigłowcem?

– Meteorolodzy twierdzą, że wiatr słabnie, a deszcz przestał padać. Miejsce, gdzie dawniej lądowały śmigłowce, wygląda teraz jak trzęsawisko, ale nasz dzielny sierżant już zarządził zasypanie go żwirem. Sądzę, że wieczorem nasze lądowisko będzie gotowe.

– Dopiero wieczorem? – Skrzywił się, ponownie przeglądając zdjęcia. – Ta sprawa nie może czekać.

– Podejmiesz się zabiegu?

– Z twoją pomocą. Będziesz anestezjologiem?

– Tak – odparła bez wahania. – To chyba łatwiejsze niż w przypadku Charlotte?

– Na pewno. – Uśmiechnął się, by dodać jej otuchy.

– Mimo to skontaktujcie się z ekipą śmigłowca. Nie obejdzie się bez ewakuacji. Nawet późnym wieczorem. Przy takim przemieszczeniu mogło dojść do uszkodzenia nerwu. Specjalista musi ocenić stopień uszkodzenia oraz terapię. Ale najpierw musimy nastawić staw. Zadzwońię do ortopedy w Sydney, żeby się z nim skonsultować, ale mam wrażenie, że i tak wiem, co należy zrobić. I to jak najszybciej.

Amy nie potrzebowała jego instrukcji, by zaaplikować pacjentowi środek znieczulający. Nabieram wprawy, pomyślała ponuro. Joss szykował się do zabiegu,

a Malcolm powoli zapadał w sen, miała więc chwilę dla siebie.

Dlaczego Malcolm tu się znalazł? Takie ryzykowne eskapady nie były w jego stylu. Coś tu się nie zgadza. Na tym musiała poprzestać, ponieważ Joss już był gotowy.

Powiódł wzrokiem po swoim zespole: Mary, Sue-ellen oraz Amy, czyli trzy wykwalifikowane pielęgniarki poniżej osiemdziesiątki i do tego, w odwodzie, Marie i Thelma. Obecność Mary i Sue-ellen dodała Amy otuchy. Wiedziała, że na nie może liczyć, bo choć ręce jej nie drżały, wcale nie czuła się pewnie. To jest Malcolm.

A może zaczęła odreagowywać napięcie wywołane obserwowaniem wcześniejszego wyczynu Jossa?

– Gotowa?

Wzięła głęboki wdech.

– Gotowa.

Poszło całkiem szybko. Joss już raz wykonywał taką operację, lecz pod okiem profesora. A to zupełnie co innego. Wolałby przekazać pacjenta ortopedzie, lecz nie miał takiej możliwości. On albo nikt. Jak brzmi to porzekadło? Zobacz, zrób, naucz? Jeśli tak, to już jutro może rozpoczynać karierę akademicką. Gdy środek zwiotczający zadziałał, Joss oparł się kolanem o blat stołu, po czym chwycił udo pacjenta. Pielęgniarkom oczy wyszły z orbit: jeszcze nigdy nie widziały takiego zabiegu. Następnie podciągnął na stół drugie kolano, aż ukląkł. W tej pozycji trzymał prawą nogę Malcolm tak, że udo i łydka tworzyły kąt prosty.

Czegoś takiego nie widziałam nawet w kinie, pomyślała Amy. To wymaga nie tylko wprawy, ale i ogromnej siły!

– Teraz obiema rękami naciśnij miednicę – zwrócił

się do niej zasapany. Prawdę mówiąc, powinien to robić mężczyzna, ale tutaj jest tylko Amy. – Obie dłonie płasko. Napieraj z całych sił. Mary, przejmij monitorowanie! Amy, teraz!

Gdy naciskała miednicę, Joss gwałtownie pociągnął kończyne. Rozległ się trzask, jakby ktoś uderzył w dwa kawałki mokrego drewna. Gotowe.

– Fantastycznie – mruknął Joss.

Zszedł ze stołu, usiadł na najbliższym krześle i zwiesił głowę między kolanami. Siedział tak przez dłuższą chwilę, podczas gdy Amy zszywała ranę na nodze Malcolma.

– Amy, doktorowi też trzeba założyć szwy – nalegała Mary, gdy wyszli z sali operacyjnej. – Jeśli tego nie zrobisz, to ja się za to wezmę, ale pamiętaj, że mam słaby wzrok.

Więc Mary zasiadła przy łóżku Malcolma, a Amy zabrała Jossa do swego gabinetu. Zamknęła drzwi i zażądała, by się rozebrał. Gdy zaprotestował, popchnęła go na krzesło i sama zdjęła mu spodnie oraz resztę wilgotnych rzeczy. Rzuciła mu szpitalny szlafrok i ledwie zdążył się przyzwoicie zakryć, zdjęła prowizoryczny opatrunek założony przez Mary.

– Jestem dorosłą kobietą – zauważyła. – Na dodatek pielęgniarką ze sporym doświadczeniem. Widziałam już wszystko. Taka wstydlivość przystoi tylko zakonnicy.

– Ja nie...

– Nie ruszaj się. Wiem, że nie jesteś zakonnica. Ale jak będziesz się wrywał, to wezwę na pomoc starszków.

– Amy...

– Przestań gadać.

Rana była bardzo brzydka. Wymagała szwów. Amy kazała mu położyć się na leżance, zaaplikowała miejscowe znieczulenie i wzięła się do pracy. Przez ten czas Joss zanalizował niezwykle doznanie: ta kobieta pozbawiła go kontroli nad sytuacją. Ostatnio doświadczał tego coraz częściej.

– Jak myślisz, co Malcolm chciał zrobić? – zagadnął, by nie myśleć o tym, co Amy akurat robi. Czuł, jak naciąga brzegi rany, lecz nie to było największym problemem. Niepokoila go fizyczna bliskość tej kobiety: jej palce na jego ciele, jej czarny warkocz, ściągnięte w skupieniu brwi oraz koniuszek języka. Jaka ona piękna!

Tak, tak. Może nawet jest piękna, ale za ścianą dochodzi do siebie jej narzeczony, który ryzykował życie, żeby ją zobaczyć. Kretyn!

– Trochę przesadził. – Słowa Amy potwierdziły jego podejrzenia.

– Nawet Romeo nie wpadłby na taki durny pomysł.

Rozważała w myślach ten komentarz, zakładając szwy.

– Romeo był wielkim durniem.

Ucieszyła go ta odpowiedź, choć nie wiedział dlaczego.

– Chcesz przez to powiedzieć, że wyczyn twojego osobistego Romea nie spotkał się z twoją aprobatą?

– Mógł zatelefonować.

– To mało romantyczne.

– Jutro prawdopodobnie ruszy prom, więc mógł poczekać.

– Będiesz mu współczuć?

– Trochę. Ale jeśli liczy, że spłace raty za rozbity motorówkę...

- To była jego łódź? – zdziwił się Joss.
 - Tak. Pływał nią wyłącznie po rzece. Nigdy po morzu. To nie ma sensu.
 - Może bardzo tęsknił?
 - To już w ogóle nie ma sensu.
 - Dlaczego? Nie jest zakochany?
- Milczała. Skupiła się na mikroskopijnych szwach. To będzie najładniejsza blizna na świecie. Będzie na nią patrzył i wspominał Amy. To już zupełny absurd!
- Chyba jest. – Joss musiał przypomnieć sobie, o co ją zapytał. Aha, czy Malcolm jest zakochany. – To do niego nie pasuje.
 - Nie ma skłonności do egzaltacji?
 - Malcolm jest rozsądny – mruknęła.
 - To, co zrobił, na pewno nie było rozsądne. – Poczuli, że jest rozdrażniony. Amy tymczasem założyła ostatni szew i sięgnęła po opatrunek. – Zostaw. Sam go nałóż. Wracaj do Malcolma. Potrzebuje cię.
 - Nie. – Odzyskała równowagę. – Najpierw założę ci opatrunek, a potem zagonię do łóżka.
 - Co takiego?
 - Idziesz spać.
 - Nie.
 - Ryzykowałeś życie, masz ranę na nodze i kilkanaście siniaków. Tyle widzę, ale gdybym zajrzała ci pod szlafrok, zobaczyłabym ich jeszcze więcej.
 - Nie zrobisz tego. – Owinął się szczelnie.
 - I o mało nie zemdlałeś w sali operacyjnej.
 - Nieprawda.
 - Moją opinię podziela Mary oraz Marie, zatem jest trzy do jednego. I my trzymamy asa. – Pochyliła się, by zgarnąć jego mokre ubrania. – Zabieram to do prania. Jak chcesz gdzieś iść, to w szlafroku. – Wyglądał na

oszołomionego. – Malcolm leży w dwojce na końcu korytarza. Idź tam i się połóż. Marie zamówiła dla ciebie omlet i herbatę. Jak zjesz, masz przykazane spać do wieczora.

Przyglądał się jej podejrzliwie. Żaden mężczyzna nie lubi, jak baba nim rządzi. Ale to jest Amy. Bawi się jego kosztem. Co gorsza, ma rację. Ledwie trzymał się na nogach.

Może nawet mu odpowiada, że ona nim tak dyryguje?

– Na dzisiaj masz już dosyć – oświadczyła, podchodząc bliżej, by go podeprzeć. Objął ją ramieniem. Za długi je tam trzymał. Lecz obojgu to odpowiadało.

Obłąd! Ona jest zaręczona.

– Lepiej już idź – szepnęła.

Zjadł omlet z wielką przyjemnością, a chwilę później poczuł ogromną senność. Amy miała rację.

Przy sąsiednim łóżku czuwała Mary. Dlaczego nie Amy? Pielęgniarka sprzątnęła jego nakrycie, po czym okryła go troskliwie niczym czterolatka.

– Teraz proszę spać, doktorze – przykazała mu.

Gdy się obudził, było już ciemno. Wyczuł obecność trzeciej osoby w pokoju. Świeciła się tylko lampka przy łóżku Malcolm. W jej bladym świetle dostrzegł w drzwiach czyjąś sylwetkę. Kobieta? Charlotte. Co ona tu robi?

Już chciał się odezwać, gdy usłyszał jej szept.

– Malcolm...

– Charlotte.

Spojrzała w jego kierunku, lecz on ani drgnął. Uznała go za staruszka, który uciał sobie drzemkę. Charlotte zna Malcolm. Intryga robi się coraz ciekawsza.

– Dobrze się czujesz? – Szurając butami, powoli podeszła do łóżka Malcolma. Pooperacyjne szwy sprawiały jej ból. Jeszcze raz lęklonie spojrzała na Jossa, który chrapnął, posapując jak prawdziwy starzec.

– Wszystko mnie boli. – Słysząc było, że zmaga się z bólem. – Mało brakowało, a bym się zabił.

– Dlaczego wypląnąłeś do Iluki?

– Żeby cię zobaczyć. Chciałem się upewnić, że nie powiedziałaś Amy...

– Ach tak! – Rozpłakała się. – A ja głupia myślałam, że się o mnie niepokoiłeś.

– Niepokoiłem się. – Joss wyobraził sobie, że Malcolm bierze ją za rękę. Miał wielką ochotę otworzyć oczy. Jego pacjent zapewne nawet nie ma pojęcia, że on tu jest, a Charlotte myśli, że śpi. Niech tak zostanie.

– Bardzo cię potrzebowałam.

– I dlatego tu jestem.

– O mało nie umarłeś – chlipała.

– To było bardzo głupie, ale chciałem zobaczyć naszą córeczkę.

– To nie było głupie. Och, Malcolm...

Idiota! Chciał zobaczyć córeczkę, więc ryzykował, że ją osieroci! I przy okazji uśmierci jego, Jossa.

Zaraz! Malcolm jest ojcem Ilony?!

– Nie powiedziałaś Amy? – Z bólu Malcolm ledwie mówił. Joss powinien natychmiast wstać, zbadać go i podać mu środek przeciwbólowy. Jeszcze nie teraz.

– Nie, chociaż chciałam. Po to tu przyjechałam. Czekałam na nią przed jej domem, ale się nie doczekałam. Zaczęłam rodzić i wpadłam w panikę. Chciałam wracać do domu. Rozbiłam samochód. A potem obudziłam się tutaj. Amy jest taka dobra, że... nie

mogłam. Próbowалам. Pomyślałam, że powiem jej, jak będziemy same. Wytłumaczę.

– Co chciałaś jej tłumaczyć?

– Że się kochamy – szepnęła Charlotte. – Że noszę twoje dziecko. Że chcemy się pobrać.

– Nie chcemy brać ślubu. Nie teraz.

– Ależ chcemy. Masz córkę. I na pewno chcesz ją uznać. Nie kochasz Amy. – Dziewczyna była bliska hysterii.

– Przypomnij sobie nasz plan. Jestem z nią zaręczony i głupio byłoby mi z nią zerwać. Ona nie ma nikogo oprócz mnie.

– Ale ty kochasz mnie.

– Nie mogę zerwać tych zaręczyn. Zrozum... Dlatego wybrałem taką drogę do Iluki. Myślałem, że w taką pogodę nikt mnie w porcie nie zobaczy. Chciałem tu przyjść pod nieobecność Amy. I ostrzec cię, żebyś nie zachowała się jak idiotka.

– Jak idiotka? Gdybym powiedziała jej o naszej miłości?

– Charlotte, nie rób tego – jęknął udręczonym tonem.

Joss powinien czym prędzej ujawnić się i wyprosić Charlotte. Powiedzieć jej, że Malcolm nie może przyjmować gości.

Nie ruszył się. Czekał.

– Chodzi o kasę – stwierdziła ponuro Charlotte. – Ciągle się łudzisz, że jak się z nią ożenisz, dostaniesz dużą część jej spadku. Tak cię to zmobilizowało, że roztrzaskałeś motorówkę. Nie umiałeś mi zaufać. Kiedy wczoraj zadzwoniłeś, mogłam się domyślić, że zrobisz coś głupiego.

– Wczoraj mówiłaś zupełnie od rzeczy. Charlotte, tu

chodzi o naszą przyszłość. Amy to kopalnia złota. Jeśli się z nią ożenię i będę z nią przez sześć lat, to nawet jeśli dostanę tylko dziesięć procent jej majątku, będziemy ustawieni do końca życia. Będę z nią tylko w weekendy. Wiesz dobrze, że ona nie może opuścić Iluki. W ciągu tygodnia będziemy razem. Jak do tej pory.

– A nasze dziecko?

Joss usłyszał jęk człowieka kompletnie wyczerpanego.

– Charlotte, nie mogę myśleć. Nie teraz, proszę.

W tym momencie na scenę powinien wkroczyć lekarz. To, co usłyszał, napawało Jossa obrzydzeniem, lecz nie mógł dopuścić, by pacjent zemdlął z bólu. Nie ma nic gorszego niż podrażniony nerw kulszowy. Joss westchnął głośno, przeciągnął się i usiadł na łóżku.

Charlotte i Malcolm wyglądali jak dzieci przyłapano na gorącym uczynku. Malcolm zamknął oczy. Nie znał Jossa, który zerknął na niego, po czym nacisnął guzik dzwonka. Mimo że ten facet potraktował Amy jak śmieć, trzeba mu podać morfinę.

– Dam panu coś na uśmierzenie bólu. – Dopiero teraz spojrzał na Charlotte. Ona go zna. Przeważenie w jej oczach mówiło, że zorientowała się, że słyszał ich rozmowę.

Nie miał do niej pretensji. Była ofiarą jak Amy.

– Charlotte, wracaj do siebie – polecił jej. W tej samej chwili w drzwiach stanęła Amy. Na jej twarzy malowało się zdumienie. – Amy, czy możesz przynieść mi dziesięć miligramów morfiny dla Malcolma? A potem odprowadź Charlotte do jej pokoju. Ona ma ci coś do powiedzenia.

Malcolm otworzył usta, lecz Joss go uciszył.

– Daj spokój. Dosyć już namieszales. Ratowałem

cię, ryzykując życie, ale nie jestem pewny, czy słusznie. Charlotte może wybierać: powie Amy wszystko, albo ją wyęcę.

Godzinę później przyleciał śmigłowiec. Wylądował bezpiecznie na placu świeżo wysypanym żwirem. Iluka przestała być odcięta od świata.

– Możesz się z nim zabrać – rzekła Amy.

Wcześniej po rozmowie z Charlotte przyniosła mu wyprane i wysuszone ubranie. Na jego pytające spojrzenie odpowiedziała tylko rozpaczliwym westchnieniem. Teraz stali nad pogrążonym we śnie Malcolmem. Gdyby miał ochotę wyjeżdżać...

Po co miałby wracać do Sydney? A dlaczego nie?

– Mam tu Bertrama. Nie zostawię go.

– Możemy się nim zająć, dopóki nie znajdziesz czasu, żeby po niego wrócić. Mogę teraz wysłać kogoś do mojego domu po twoje rzeczy. – Spojrzała na zegarek. – Packer już tu wiezie ludzi ze śmigłowca. Trzeba przygotować Malcolma do drogi. To jest cały zespół ratowniczy, więc asysta lekarza nie jest konieczna, ale jeśli chcesz się stąd wydostać... – Odetchnęła głęboko. – Masz niewiele czasu na podjęcie decyzji.

– Niech leci z nimi Charlotte – zaproponował.

– Ona chce tu zostać.

– Jak to?

– Ma sporo do przemyślenia. Podobnie jak ja...

– Czy masz ochotę kopnąć w tyłek tego gada?

– Nie – odparła po namyśle. – Po pierwsze, on już dostał za swoje. I sam sobie to zawdzięcza. Po drugie – zawahała się – on nie jest taki zły.

– Zdradzał cię.

– Tak, ale...

– Ale co?!

– Ale gdyby nie on, chyba bym zwariowała. – Podniosła na niego wzrok. W jej oczach Joss ujrzał beznadziejną pustkę. – Może to żalosne, ale cztery lata temu, kiedy dowiedziałam się, że muszę tu wrócić, przeżywałam koszmar. Malcolm mi pomógł, załatwił wszystkie dokumenty. Dzięki niemu można było wybudować ten ośrodek. Był przy mnie.

– Oraz przy tej dziewczynie.

– Dowiedziałam się od Charlotte, że poznali się dwa lata później. Zaprzyjaźnili się, a potem zostali kochankami. No cóż, miałam dla niego dwa weekendy w miesiącu.

– Plus obietnicę majątku.

– Możliwe. – Patrzyła na narzeczonego. – Charlotte twierdzi, że on chce się ze mną ożenić nie tylko dla pieniędzy. Że chodzi mu również o moje dobro.

– Wierzysz w to?

– Chyba tak. – Spojrzała mu w oczy. – Może chcę w to wierzyć.

– Dlaczego?

– Bo mam tylko jego. Miał być moją przyszłością. Mężem. Ojcem moich dzieci. Namiastką normalności.

– Chyba już przestałaś na to liczyć.

– Przestałam. Charlotte urodziła mu dziecko. Uważam, że między nami wszystko skończone. – Nerwowym ruchem zsunęła z palca pierścionek. Położyła go na dłoni i wpatrywała się w połyskujący brylant. – Przyłeciał śmigłowiec. Możesz lecieć. Wszyscy możecie stąd wyjechać.

– Nie kochasz go? – Milczała. – Amy...

– Daj mi spokój. – Wyszła z pokoju.

Ma wracać do Sydney? Czy jest na to przygotowany?
Nie.

Za to Malcolm jest gotowy. Joss już opisał jego przypadek i zakleił kopertę, którą ratownicy wraz z pacjentem zawiozą do szpitala. Ruszył do świetlicy, gdzie Lionel kroił materiał. Stracił najlepszą jednostkę, więc jak najszybciej musiał ten brak uzupełnić. Poza tym nie mógł dopuścić, by w świetlicy był chociaż jeden kawałek wolnej podłogi.

– Nowy latawiec?

– Latawców nigdy dosyć.

To prawda. Joss rozejrzał się po sali. Ciekawe, ilu kierowników domów opieki ma tyle cierpliwości co Amy?

Latawców nigdy dosyć. Radości nigdy dosyć?

– Powinieneś je sprzedawać – powiedział Joss ot tak sobie. – Twoje latawce są wspaniałe. Mógłbyś zarobić.

– Nie tutaj – mruknął starszek. – Kiedy odchodziłem na emeryturę, planowałem otworzyć sklepik i sprzedawać latawce dzieciom na plaży. Wyszedł z tego ponury żart. Nawet gdyby przyjeżdżały tu dzieci, to mógłbym nimi handlować tylko w domu starców. Kto by tu szukał latawców?

– Dlaczego tylko tutaj i nigdzie indziej? – zainteresował się Joss, zastanawiając się, jaki jest tego dnia stan umysłu Lionela. – Dlaczego nie w twoim garażu?

– Ponieważ każdy metr kwadratowy gruntu jest tu objęty zakazem rozbudowy infrastruktury. – Leciwy konstruktor latawców był bardzo przytomny. – Poza tym kawałkiem pod pocztą i sklepem. Reszta ziemi do końca świata jest zastrzeżona pod budownictwo mieszkalne. Wszelki handel jest zakazany na całym obszarze, oprócz domu opieki. Wyobrażasz tablicę z napisem „Sprzedaż latawców” nad naszymi drzwiami?

Tego sobie nie wyobrażał, lecz w jego umyśle zaczął

kielkować pewien pomysł. Czy da się go zrealizować? Na pewno trzeba będzie znaleźć jakieś prawne kruczki.

A jeśli to jest możliwe?

Czy ona kocha Malcolma? Było to ostatnie pytanie, na które nie znał odpowiedzi.

Śmigłowiec już czekał. Joss pomógł unieruchomić chorą nogę, nafaszerował chorego na drogę środkami przeciwbólowymi, po czym odszedł na bok, by Malcolm pożegnał się z Amy. Charlotte gdzieś zniknęła.

– Amy, przepraszam – jąkał się niewierny narzeczo-ny, chwytając ją za rękę. – Charlotte i ja... Nie mogę...

– Wiem, że to, co było między nami, się skończyło. – W jej głosie Joss słyszał nutę tkliwości. – Nie wysilaj się. Już to wiem.

– Charlotte chce tu zostać.

– W porządku. Będziemy się nią opiekować. – Uda-wała, że nie rozumie, o co mu chodzi.

Nie tak Malcolm wyobrażał sobie tę rozmowę, lecz nie był w stanie pchnąć jej na właściwe tory.

– Amy...

– Pierścioneek oddam twojemu ojcu. Dałabym go tobie, ale teraz mógłbyś go zgubić. Może wolisz, żebym od razu dała go Charlotte?

– Nie!

– Chyba masz rację. To byłoby w złym guście. Tak samo jak zrobienie dziecka jednej kobiecie, gdy jest się narzeczoną drugiej. – Zawahała się, po czym pochylili się i pocałowali go w czoło. – Żegnaj.

Amy płacze? Szlag by trafił tego faceta! Joss miał ochotę ruszyć za autem sierżanta Packera, zatrzymać go i zwichnąć Malcolmowi drugi staw biodrowy!

Czy zrobił błąd, mówiąc jej o zdradzie Malcolma?

Zmuszając Charlotte, by to zrobiła? Gdyby dziewczyna milczała, Amy wyszłaby za niego, miałyby dzieci i przez sześć lat także weekendowego męża. Co jeszcze mogłoby ją spotkać?

Wszystko, zdenerwował się. Ta kobieta powinna żyć pełnią życia, a nie w ciasnych ramach wytyczonych przez despotycznego ojczyma.

Zauważył, że Amy go obserwuje.

– Dlaczego nie skorzystałeś z szansy? Mogłeś uciec. Czy chciał uciekać?

– Rozmawiałem z Packerem. Powiedział, że jeśli nie zacznie znowu padać, jutro ruszy prom. Będę mógł wyjechać razem z Bertramem.

Czyżby przez jej oblicze przepłynął cień smutku? Z jego powodu? Czy Malcolma? Może sama tego nie wie?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Przed wyjazdem do domu Joss zjrzał jeszcze raz do Charlotte. Wyplakiwała się w poduszkę.

– On po prostu jest słaby – szlochała. – Nie zorientowałam się. I głupi. Uważał, że mogłabym zaprzepścić naszą przyszłość i wybrał się motorówką w taką pogodę. Żeby tylko Amy się nie dowiedziała. – Westchnęła. – Wie pan co? Myślałam, że on to robi dla niej. Że jest do niej przywiązany i nie potrafi się z tego wyplatać. Nawet mu współczułam. Teraz już sama nie wiem, co mam myśleć. A na dodatek ja też kochałam tę motorówkę! – Zalała się łzami.

Zdaje się, że gość ma przechłapano na wszystkich frontach, pomyślał Joss. Jeśli zależy mu na tej pannie, będzie musiał mocno się starać. Bo na razie z faceta, który miał dwie kobiety, stał się facetem, który nie ma żadnej.

Amy była w tak samo złym nastroju jak Charlotte. W milczeniu wracali do domu. Nie powinien był mieszać się w jej sprawy. Wyglądała jak człowiek, któremu świat się zawalił. Co ona widzi w tym debilu? Czego brakuje jemu, Jossowi?

Zaraz! Jesteś zazdrosny? O faceta, który zwodził dwie kobiety?! Nie, o faceta, który zawładnął sercem Amy!

Bolała go noga. Cały był obolały. Nie tylko fizycznie. Pragnął Amy aż do bólu. Co za chory układ!

Bertram tak się za nimi stęsknił, jakby nie widział ich przez miesiąc. Marzył, by się wyhasać.

– Zabiorę go na plażę – powiedziała Amy. – A ty się połóż. Założę się, że noga ciągle cię boli.

Wcale nie tak bardzo, żeby nie mógł im towarzyszyć. To jego ostatni wieczór w Iluce. Następnego dnia wyjeżdżał.

– Pójdę z wami.

– Ale noga...

– Nie zmartwię się, jak odpadnie.

Mogli iść znacznie szybciej, lecz ona specjalnie zwalniała kroku. W spranych dżinsach, zbyt obszernym swetrze i z na wpeł rozplecionym warkoczem wyglądała jak morska czarownica. Wystawiała twarz na wiatr. Sprawiała wrażenie istoty wolnej, chociaż wcale tak nie było.

Bertram szalał z radości. Jutro wróci do służbowego mieszkania i dwóch spacerów dziennie, pomyślał smętnie Joss. Na pewno poczuje się jak w więzieniu.

Sydney będzie jak więzienie.

Niespodziewanie dłoń Amy znalazła się w jego dłoni. Jak dobrze! Poczuł, że nareszcie znalazł swoją kobietę.

Czy ona kocha Malcolma?

– To skończony idiota – mruknął.

– Wiem.

– Nie wrócisz do niego.

– Nie. W ogóle nie powinnam była się z nim zaręczać.

– Dlaczego?

– Bo go nie kochałam.

– Mimo to zgodziłaś się za niego wyjść – powiedział ostrożnie.

Kopnęła grudę piasku.

– Wiem, że robię tu dobrą robotę – zaczęła. – Że dzięki mnie staruszkowie są szczęśliwi. A ja? Dlatego się z nim zaręczyłam. Żeby mieć własne życie. Oprócz domu starców. – Kopnęła następną kupkę piasku, lecz pod spodem był kamień. Omal nie upadła. – Cholera! – rozłościła się.

– Chodźmy na twoją skałę – zaproponował. – To mój ostatni wieczór.

– To jest moja świątynia dumania.

– Chodźmy tam razem.

– Zamoczysz buty.

– Bohaterowie nie baczą na wodę w butach. Nie wtedy, gdy starają się zdobyć serce pięknej królowy.

Namyślała się przez dłuższą chwilę, po czym bez słowa ruszyła ku swojej skałce. Gdy tylko tam się znaleźli, Joss zamknął ją w uścisku silnych ramion.

Oto jego kobieta. Przy niej jest jego miejsce.

Pachnie morzem. Czuł jak zalewa go fala pragnienia, tak dojmującego jak nigdy przedtem. Zdarzało mu się pożądać kobiet, ale nie tak. Ta musi przy nim zostać. Jest jego połową. Zabierze ją ze sobą.

To niemożliwe. Ona nie może stąd wyjechać, on tu zostać. Nie może jej zostawić. Do tej pory uważał ojca za głupca, ponieważ pozwalał sobie kochać, lecz miłości się nie wybiera. Miłość jest tu i teraz. W świetle księżyca ujrzał jej twarz.

– Joss... – szepnęła. To wystarczyło.

Zamknął jej usta zaborczym pocałunkiem.

Jestem tu uwięziona, myślała, a on wyjeżdża jutro rano. Lecz tego wieczoru nieważne jest to, że ma dwadzieścia osiem lat, że przez ostatnie dwa lata była narzeczoną innego, że dopiero za sześć lat będzie mogła stąd wyjechać...

Liczy się tylko Joss.

– Kocham cię – szepnęła tak cicho, że ledwie to usłyszał przez szum morza i wiatru. Wcale nie chciała, by to do niego dotarło. Powiedziała to do swojej wiadomości.

Jutro będzie pustka i samotność.

Dzisiaj jest Joss.

Nie pamiętał, jak wrócili do domu. Nie mogli kochać się na mokrym i zimnym piasku. Może w lecie... Pragnął połączyć się ze swoją kobietą pośród wygod sypialni. Kłamca. Był gotów wziąć ją gdziekolwiek. I nigdy jej nie opuszczać.

Nie protestowała. Lepsza jedna noc niż nic.

Nie mieli żadnych zabezpieczeń. Uświadomiwszy to sobie, Joss aż jęknął, lecz ona się tym nie przejęła.

– Jeśli jesteś gotowy podjąć to ryzyko, ja nie mam nic przeciwko temu – oznajmiła, gdy stanęli na progu sypialni. W ostatniej chwili przezornie zamknęli Bert-rama w kuchni. – Jeśli dzisiejszej nocy zajdę w ciążę, będę tylko zachwycona. – Uśmiechnęła się. – A ty?

Będzie zachwycona. Amy w ciąży? Z nim? Ku swojemu zdziwieniu szczerze się ucieszył.

– Na pewno, moje serce?

– Na pewno. Będę bardzo dobrą samotną matką.

Miał wyrobioną opinię na ten temat. Samotna matka? Nie była to jeszcze odpowiednia chwila na oświadczenia. Jeśli Amy uważa, że czeka ją samotne macierzyństwo, to niech tak będzie. Na razie.

Świt nadszedł zbyt szybko. Może nawet nie był to świt. Coś dzwoniło.

– Telefon... – mruknęła sennie Amy, unosząc głowę.

– Dlaczego jesteśmy w twoim pokoju, skoro telefon stoi u mnie?

– Tam jest reszta świata, tutaj tylko my dwoje – szepnął Joss. Dlaczego telefon nie milknie? – Może coś się stało?

– Myślę, że możemy zapomnieć o hipokratesowej przysiędze. Niech się tym zajmie Karol Pierwszy.

Karol Pierwszy? Ach tak, ten lekarz z demencją.

– Może ktoś umarł? – zaniepokoił się.

– Skoro umarł, to już mu nie pomożemy – zauważyła trzeźwo. – Trzeba wezwać zakład pogrzebowy, a to nie należy do nas.

Ktoś się uparł.

– Amy...

– Ej, to ja jestem ta nadopiekuńcza, nie ty. – Potarła policzkiem po jego klatce piersiowej. – No dobra, doktorku, niech pan odbierze ten telefon. Ja będę grzała pościel.

– Obiecujesz?

– Mhm. – Całowała go tak, że nie miał siły się podnieść.

Telefon ucichł. Na dziesięć minut. Joss zaklął.

– Jest dziewiąta rano w poniedziałek – zauważyła Amy ze śmiechem. – Świat ma już prawo nam przeszkadzać.

– Nie ma dziewiątej.

– Taka godzina jest na twoim zegarku.

– Leżysz na nim.

– Nie tylko na nim. Odbierz telefon.

– Czy już ci powiedziałem, że cię kocham?

– Tak. – Rozpromieniła się. – Ale możesz to powtórzyć.

– Kocham cię.

– Sto jedenaście. – Pocałowała go.

– Kocham cię.

– Sto dwanaście. Odbierz telefon.

Dzwoniła Sue-Ellen.

– Prom już ruszył! Przyjechali rodzice Emmy i pytają, czy mogą ją zabrać.

Cholera, powinien ją jeszcze raz zbadać.

– Już do was jadę!

Gdy wrócił do swojego pokoju, nie zastał Amy.

– Jestem pod prysznicem! – krzyknęła.

– Miałaś grzać pościel.

– Skłamałam.

Wpadł do kabiny, by ukarać ją za brak subordynacji. Całował ją, aż zabrakło jej tchu. Wyrwała mu się.

– Jeśli masz zbadać Emmę, to powinniśmy jechać.

– Jasne. – Joss... Dziękuję ci za tę noc.

– To jest pierwsza...

Śmiech zamarł jej na wargach.

– Joss, to nie jest początek. Wsiądziesz dzisiaj do różowego garbusa macochy, wjedziesz na prom i znikniesz.

– Nie.

– Tak. – Tkwiła w jego ramionach. – Dosyć długo byłam w związku. I nie mam ochoty na następny. Wiesz, że jestem tu uwiązana na sześć lat. To miejsce powoli umiera. Jego mieszkańcy dużo tracą. Nie mogę sprawić im przykrości. Ty też nie chciałbyś, żeby cierpieli. – Myślał tylko o tym, jak niezwykła jest ta kobieta. – Nie możesz tu zostać. Musisz wracać do Sydney. – Faktycznie. Czeką go mnóstwo pracy. – Pamiętaj o mnie. Ale nie dotrzymuj mi wierności. Ja nie czekam na ciebie, ty nie czekasz na mnie. Jesteśmy wolni.

Wolność. Kiedyś nie wyobrażał sobie życia bez niej. Teraz czuł, że nic gorszego nie mogło go spotkać.

Pojechali do domu opieki. Na miejscu byli już rodzice Emmy, którzy chcieli zabrać ją do domu; ojciec Charlotte rwał się dać w zęby draniowi, który doprowadził do łez jego córkę; do staruszki z zapaleniem płuc przyjechała w odwiedziny synowa; oraz mnóstwo innych interesantów.

– Skoro prom już kursuje, Daisy z radością pożyczyci garbusa – oznajmił ojciec. Podróż różowym volkswagenem na pewno dostarczy mu mnóstwa przeżyć, lecz w oczach Jossa był to najmniejszy problem. – Jeśli nadalnosisz się z zamiarem opuszczenia Iluki.

Joss milczał.

– Wyjeżdża, wyjeżdża – zapewniła go Amy, która niepostrzeżenie podeszła do nich. – Został wyrzucony z kwatery, więc musi wyjechać.

– Zostałem wyrzucony?

– Tak. Dwie osoby i pies to dużo za dużo jak na dom, w którym jest dziesięć pokoi. Ktoś musiał odejść. Wypadło na Jossa.

– Zatrzymasz Bertrama? – Trudno było mu wyobrazić sobie ją samą w tym mauzoleum.

– Nie. To jest twój pies.

– Kupię ci szczeniaka.

– Nie.

Tak, musi jechać. Ale potem zobaczymy...

– Czytam w twoich oczach – zaczął ojciec – że nie możesz doczekać się, kiedy znowu zobaczysz Sydney. – Uśmiechnął się do Amy. – On ma takie nieobecne spojrzenie zawsze, kiedy coś knuje. Co na ciebie czeka w Sydney?

– Nie wiem. Dowiem się na miejscu.

Następne dramatyczne minuty przeżył, stojąc przed volkswagenem gotowy do drogi. Bertram już był

wewnątrz. Nie mógł się doczekać końca tych pożegnań.

Komitet pożegnalny składał się z Daisy, ojca, większości pensjonariuszy oraz niemal wszystkich mieszkańców Iluki. Przez kilka dni Joss podbił serca całego miasteczka. Z wzajemnością. Zrozumiał, dlaczego Amy nie może stąd wyjechać.

– Do zobaczenia! – krzyczeli.

O nie, pomyślał, widząc pobladłą twarz Amy. Nie wcześniej, niż jego plan wejdzie w stadium realizacji.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Pierwszy dzień spędził w Bowrze. Natychmiast umówił się z prawnikiem, ojcem Malcolma. Na szczęście starszy pan nie był podobny do syna. Gdy Joss przedstawił mu swój plan, natychmiast zaproponował pomoc.

– Jestem oburzony na tego durnia, mojego syna. Jak on mógł tak postąpić wobec Amy?! A z Charlotte? To jest córka moich znajomych. Jak mu się udało tak długo ukrywać ten romans? O nią proszę się nie martwić. Malcolm musi się z nią ożenić. Jeśli ona nie zechce, a wcale bym się jej nie dziwił, Malcolm i tak będziełożył na nią i na dziecko. Bo inaczej wykluczę go z testamentu.

– Właśnie, testamenty... – Joss zgrabnie wrócił do wcześniej podjętego wątku.

– Zastanówmy się, co można z tym zrobić. Pański pomysł... nie przyszło mi to do głowy... wymaga sporo odwagi.

– Powiedziałbym, że nie tylko. Sądzi pan, że to jest osiągalne?

Potem spotkał się z doktor Doris Scott. Początkowo patrzyła na niego podejrzliwie, lecz pod koniec wizyty była pełna entuzjazmu.

Zyskał kolejnego sprzymierzeńca.

Ojciec negocjował z radnymi Iluki. Już na autostradzie do Sydney Joss zjechał na pobocze, by do niego zadzwonić.

- Synu, zdobyłem dane, o które prosiłeś – usłyszał.
 - Sprawa już się rozkręca.
 - A most?
 - Znosi się, że i to jest do załatwienia.
- Jeszcze tylko departament zdrowia, pomyślał Joss, wracając na szosę. Oraz bank. I władze prowincji.

Wrócił po miesiącu. Liczył, że uda mu się wcześniej, lecz jego plan był bardzo złożony. Nie interesowały go rozwiązania połowiczne, wszystko musiało być związane na ostatni guzik.

Prawnik z Bowry zacierał ręce z radości, że nieboszyk ojczym Amy przewróci się w grobie. Dobrze mu tak.

Teraz Joss mknął do Iluki. Za nim toczył się różowy volkswagen z ojcem za kierownicą. Odbudowa mostu jeszcze się nie zaczęła, lecz Joss chciał jako pierwszy poinformować Amy o postępach w realizacji swojego przedsięwzięcia.

Zaparkował range-rovera pod domem opieki. Bertram natychmiast rzucił się na poszukiwanie swoich najlepszych przyjaciół. Pan ruszył za nim.

Amy siedziała w gabinecie. Usłyszała radosne okrzyki w świetlicy, po czym do jej pokoju wpadło w podskokach wielkie rude psisko i rzuciło się na nią. O mało jej nie przewróciło. Bertram!

Na pewno przyjechał różowym garbusem z ojcem Jossa. Na pewno nie z Jossem. Spojrzała przez okno na parking. Stał tam nowusieńki samochód terenowy z dziwnym znakiem na drzwiach oraz napisem „Uzdrowisko Iluka”.

Zanim ochłonęła z wrażenia, w drzwiach pojawił się Joss. Patrzył na nią wzrokiem pełnym nadziei. Jak

Bertram na grzankę. Oniemiała. Podjęła już konkretną decyzję. Joss wpadł tu przy okazji odwiedzin u ojca, więc przywita się z nim jak z dobrym znajomym. Lecz on patrzył na nią tak, że nie potrafiła się pohamować i wstała, by paść mu w ramiona.

– Nic się nie zmieniłaś – szepnął.

– Nie było cię tylko miesiąc.

– Myślałem, że jesteś w ciąży. – Za plecami usłyszał stłumiony śmiech. – Cześć, Kitty.

– Nie jestem – odparła Amy urażona. – Po jednej nocy? Chyba ci się przewróciło w głowie.

Recepcjonistka dusiła się ze śmiechu.

– Nie będę wam przeszkadzać – wykrztusiła. Nie omieszkała jednak zostawić sporej szpary w drzwiach.

– Amy... – Pocałował ją gorąco.

Za drzwiami rozległo się przeciągłe westchnienie.

– Joss, ja nie mogę... – W głowie jej szumiało, serce wyrwało się z piersi.

– Czego nie możesz?

– Kochać cię. – Nareszcie. Spodziewała się, że Joss się cofnie. Ani drgnął.

– Nie możesz mnie kochać? Cały mój plan na przyszłość na tym się opiera.

– Na czym?

– Na tym, że mnie kochasz. – Spojrzał jej w oczy. – Jesteś tego pewna? Nawet gdybyś bardzo się postarała?

Nie wiedziała, czy ma płakać, czy się śmiać.

– Spróbuj poudawać – kusił. – Obawiam się, że nie mogę być naczelnym lekarzem uzdrowiska, jeśli nie będę miał żony. Mężczyzna na takim wysokim stanowisku musi mieć reprezentacyjną małżonkę.

– Uśmiechał się szeroko. – Uroczystości otwarcia,

przecinanie wstęgi... Żona jest niezbędna, choćby tylko po to, żeby nosiła za mężem teczkę.

– Nie wygłupiaj się.

– Ja się nie wygłupiam, ja się oświadczam. – Wyjął z kieszeni niewielkie pudełeczko i je otworzył. Oczom Amy ukazał się najpiękniejszy pierścionek, jaki kiedykolwiek widziała. – Podoba ci się?

– Piękny – szepnęła. – Ale ja nie mogę...

– Amy, zorganizowałem nam życie. Posłuchaj... – Podeszedł do drzwi i otworzył je na oścież. Było tam piętnaście ludzkich głów oraz jeden psi łeb. Wystawił ramię, przejął od ojca tekturową teczkę, po czym ostrożnie przymknął drzwi.

– Czytaj. – Rozłożył przed nią plany rozbudowy.

Oglądała je z coraz większym zachwytem. Wielki szpital, kilkanaście sklepów, kino, podgrzewany kryty basen, prywatne gabinety lekarskie, hotel. I szkoła „Dla dzieci pracowników uzdrowiska”!

– Co to znaczy?

– Całość to Uzdrowisko Iluka.

– Jak to?

– Nie domyślasz się? Testament twojego ojczyma zablokował rozbudowę Iluki. Ojczym pozwolił ci tylko zbudować dom opieki. Zastrzegł jednak, że dom ten ma mieć charakter uzdrowiskowy. Zatem mój prawnik...

– Jaki prawnik?

– Henry. Ojciec Malcolma. Pogrzebaliśmy w Internecie i okazało się, że we wszystkich uzdrowiskach infrastruktura jest bardzo urozmaicona. Ojczym wyznaczył środki na budowę domu opieki, lecz w dzisiejszej formie ten dom nie ma nic wspólnego z uzdrowiskiem. Wobec tego udaliśmy się do banku.

– Do banku... – sapnęła.

– Na tę okazję nawet włożyłem krawat. Bardzo dobrze nas potraktowano. Zwłaszcza gdy Henry przedstawił zabezpieczenia, których jesteś pełnoprawną właścicielką: rezydencja warta miliony, dom opieki, grunty... Za sześć lat będziesz obrzydliwie bogata. Iluka ma szansę przyciągnąć setki tysięcy ludzi. Nie protestuj... Sercem tej miejscowości będzie szpital. Iluka to prawdziwa żyła złota. Bank też na tym skorzysta. – Oczywiście Amy były już okrągłe. – Ściągniemy lekarzy różnych specjalności. Bo gdy będzie tu czteropasmowy most i droga szybkiego ruchu...

– Autostrada?

– Władze regionalne uznały, że Iluka może stać się uzdrowiskiem z prawdziwego zdarzenia. Doris Scott niemal rzuciła mi się na szyję, gdy przedstawiłem jej ten plan, ponieważ w pojedynkę nie jest w stanie zajmować się całym rejonem. Teraz powiedz, czy podoba ci się mój pomysł?

– W głowie mi się nie mieści.

– A, i jeszcze będzie tu kolonia domków dla osób starszych, które wymagają pomocy, ale wolą mieszkać u siebie, jak Marigold i Lionel, oraz zespół pracowni, na przykład modelarska i dziewiarska, gdzie będzie można kupić takie wytwory pracowitych staruszków jak latawce czy szydełkowane niemowlęce wyprawki. Poza tym będzie tu duże zapotrzebowanie na pracowników dochodzących, jak Marie i Thelma. Malcolm... Spotkałem się z nim w Sydney. Charlotte też go odwiedziła. Postawiła mu warunek: jeśli się z nią ożeni, mają zamieszkać w Iluce, bo tylko w Iluce ludzie są tak serdeczni. To są jej słowa. Malcolm jest przerażony, jak ty na to zareagujesz, ale...

– Ale co?

– Mimo że nie potrafi postępować z kobietami, jest bardzo dobrym księgowym. To on wszystko nam obliczył. Przydałby się nam taki skrupulatny buchalter. Myślisz, że mogłabyś na niego patrzeć? Zdradził cię.

– Zdradził także Charlotte, a ona mimo to go kocha. Jeśli ona mu wybaczyła, to ja...

– Nie kochasz go? Ani odrobinę?

– Jak mogłabym go kochać, jeśli kocham ciebie?

– Kochasz mnie? – Udał zdumienie.

– Nie mam wyjścia. Muszę, skoro zostaniesz naczelnym lekarzem uzdrowiska i będziesz przecinał wstęgi.

– Ty zostaniesz zastępcą dyrektora i też będziesz mogła przecinać wstęgi.

– Myślałam, że moją rolę będzie noszenie twojej teczki.

– Zostawimy ją w domu. Powiedz, że to wypali.

– Patrzył na nią błagalnie, jak Bertram, który chce, by rzucono mu piłkę.

Nie. Nie jak Bertram. Jak Joss Braden, który prosi ją o wspólną przyszłość.

– Amy, czy zostaniesz moją żoną?

Przez szparę w drzwiach dotarło do nich zbiorowe westchnienie. Ciekawe, ile głów mieści się we framudze drzwi?

– Czy będę mogła mieć szczeniaczka?

– Nawet dziesięć.

– A dziecko?

– Nawet dziesięcioro.

Roześmiała się. Miłość zwyciężyła.

– Jasne, że zostanę twoją żoną! – Padła mu w ramiona.

Stłoczeni za drzwiami pensjonariusze zgotowali im entuzjastyczną owację, lecz oni tego nawet nie zauważyli.

Gdy stanął nowy most, Iluka zaczęła rozwijać się w zawrotnym tempie. Wszędzie roilo się od wczasowiczów w różnym wieku. Tego pięknego, ciepłego dnia rdzenni mieszkańcy miasteczka zgromadzili się na plaży w roli świadków zaślubin Jossa Bradena i Amy Freye.

Pod niebem szybowały dwa ogromne latawce Lionela. Manewrowały nimi dzieci wyraźnie przez niego przyuczone, ponieważ sam konstruktor, trzymając małżonkę za rękę, z podwiniętymi nogawkami, z upodobaniem brodził w ciepłej wodzie. Byli tam wszyscy: ojciec Jossa z Daisy, Charlotte, Malcolm i Ilona. Oraz Bertram, który tym razem unikał wody, ponieważ miał nową zabawkę: młodego spanielka, z którym szalał na piasku. Dalej: Mary, Sue-Ellen, Marie, Thelma oraz stary Robbie, który odzyskał posadę ogrodnika Amy, i jeszcze ze sto osób.

– Od tej chwili jesteście mężem i żoną – oznajmił pastor.

Nad ich głowami bujały latawce. Tym razem aż trzy. Każdy miał inny napis:

AMY

JOSS

NA ZAWSZE